

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 14 grudnia 1947 r.

Nr 48 (127)

Rozalia Rybacka

ROZMOWA U STAREJ ZASŁONY

(Na śladach tradycji P. S. L-u)

... z doświadczeń przeszłości należy czernąć naukę na przyszłość
„Przyjaciela Ludu” r. 1907

Długo wahałam się, czy odpowiedzieć p. Lasockiemu, czy też ze względu na jego wiek sędziwy pozostawić go w spokoju. Ale rozmowa starych ludzi o przeszłości przyda się „dla nauki na przyszłość”. Rozmowa właściwie już rozpoczęta. Do napisania szkicu biograficznego o Andrzejku Średniawskim („Wies i Państwo” Nr 5/6) pobudził p. Lasockiego artykuł „Na marginesie 50-lecia PSL” („Nowe Drogi” Nr 1), bo, jak powiada, wspomniano tam o Średniawskim „przedstawiając go w bardzo ujemnym świetle”.

Nic na to nie poradzę. Gdybym nawet sięgnęła po cytaty do wspomnienia pośmiertnego o Średniawskim pióra W. Witosa — znów światło byłoby „ujemne”. Dlaczego? Może na tle budowy Wolnej Polski Ludowej w takim właśnie świetle ukazują się i ukazywać się będą postacie założycieli „Piasta”? Tych, co, jako rozłamowcy, niegdyś stracili naczelne hasła stronnictwa ludowego: „rządy ludowe” i „Wolna Polska Ludowa” w pył przydrożny i zdeptali je w pośpiesznym marszu do Chjeno-Piasta? Może zauważyć to musi nawet p. hr. Lasocki „b. minister”, jeden z założycieli „Piasta”?

Nie o tym chcę mówić w tej chwili. Chcę ponowić o zasłonie.

Gęsta zasłona okrywa nie tylko moment założenia „Piasta”, ale cały duży i ważny okres historii Ruchu Ludowego w Polsce, poprzedzający ten moment. W mrokach zasłony gubią się początki Ruchu Ludowego i jego źródła. Odcięto przeszłość, żeby nie można było czerpać z niej nauk na przyszłość. Co więcej, przerwano i zmacono perspektywę historyczną przeszłości, perspektywę, która układała się w świadomości mas ludowych i pomagała im wytyczać drogę w przyszłość. A przeszłość — to była pańszczyzna i rewolucja 1848 roku, która ją obaliła i w której lud Galicji, przymusił żywy udział. Z perspektywy historycznej, ze spojrzenia obejmującego nieprzerwaną ciągłość zdarzeń, wynikała dla ludu świadomość tej prawdy, że **rewolucja nie była doprowadzona do końca**, że przywileje polityczne i ekonomiczne możnych, a nędza i poniewierka chłopów i robotników wywodzą się bezpośrednio z feudalno-pańszczyźnianego bezprawia. Stąd poczucie wspólnoty interesów chłopów polskich i ukraińskich („Rusinów”) i robotników. Stąd radykalny charakter ruchu ludowego w Galicji, jego siła, karność i bojowość jego szeregów. Stąd cele i hasła Stronnictwa Ludowego, rządy ludowe, Wolna Polska Ludowa, wreszcie „walka i praca... aż zniknie na ziemi naszej, jak długa ona i szeroka, polityczna niewola i wszelaka niesprawiedliwość społeczna”. Dlatego też rewolucję rosyjską 1905 r. lud Galicji powitał z uniesieniem; w odbłaskach tej rewolucji Stronnictwo Ludowe we wspólnej z socjalistami walce zdobyło powszechne prawo głosowania do parlamentu wiedeńskiego. Ale wówczas też, w tych samych odbłaskach, obrońcy ustroju kapitalistycznego dostrzegli grożące mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Dostrzegli niebezpieczeństwo wynikające z połączenia chłopskiej świadomości przeszłości z robotniczą świadomością przyszłości. Takie połączenie dać mogło jasną perspektywę historyczną, prostą drogę i wielką siłę rewolucyjną. Dlatego partia kontrewolucyjna, jaką już wtedy była w Galicji endecja, przeciwdziałała temu ze

wszystkimi siłami, wszelkimi sposobami. W r. 1913, w przełomowej bodaj chwili walki o powszechne prawo wyborcze do Sejmu Galicyjskiego, udało jej się częściowo ruch ludowy złamać, częściowo sprowadzić na manowce. Od tego czasu, żeby mu utrudnić odnalezienie prostej drogi, żeby zmącić perspektywę historyczną, stara się grubą **zasłoną kłamstw i legend zakryć przeszłość ruchu ludowego** i zasłonić zdradziecki zakręt na rozstaju — założenie „Piasta”.

I jeszcze do tej pory, jeszcze teraz, czujni stróż strzegą zasłony przed ciekawym okiem śmiałka.

Zaniepokojony tym, że poruszono zasłonę dymną, kryjącą źródła i sprężynę powstania „Piasta”, p. Lasocki rozsnuwa jeszcze zapasowy dymny obłoczek. Stara się wmówić w czytelnika, że rozłam i zniszczenie silnego stronnictwa ludowego w r. 1913 dokonane byłoby w obronie przed... projektem kurii średniej własności! Byłoby to śmiechu warte, gdyby nie było obliczone na ludzką łatwowierność. Według ówczesnej statystyki kuria średniej własności obejmowałaby, zdaje się, około 30 ludzki na powiat i 4 mandaty polskie na cały kraj. Projekt ten wysunięty był chyba po to, żeby było co ustąpić w toku rokowań. Pies z kulawą nogą o niego nie dbał. A przyszłych rycerzy „Komisji Rządzącej” i Chjeno-Piasta oburzyć miał ten projekt do tego stopnia, że rozbili stronnictwo! Nieprawdopodobna historia. Zbadajmy ją bliżej. Zauważymy bezstronnie i wiarogodnego świadka — pierwsze numery pisma „Piast”. Ten świadek wskazuje nam przyczynę rozłamu. W Nr 2-im (w pierwszym po rozłamie) z dn. 21 grudnia 1913 r. o posiedzeniu Rady Naczelnej w Rzeszowie mówi się tak:

„Nie skończyło się pohańbienie PSL na tym uchwaleniu rozgrzeszenia dla p. Stapińskiego za jego wstąpienie budzącą politykę. Stapiński postanowił Stronnictwo **unurzać w błocie aż do skutku i oświadczył publicznie, że w dalszym prowadzeniu PSL pójdzie razem z socjalistami i postępowcami (czytaj Żydami)**”. (Podkreślenia „Piasta” — R.).

Oburzenie założycieli „Piasta” jest zrozumiałe. Tym bardziej, że to oświadczenie poprzedzone było wspólną z robotnikami i postępowcami akcją. W kwietniu 1913 r. odbył się we Lwowie wielki wiec z górą 10.000 chłopów i robotników w hali „Pałacu Sportowego” i wspólna demonstracja ludowców, socjalistów, Demokracji Postępowej i Ukraińskiej Partii Radykalnej. Wysłano do sejmu delegację, która mówiła nie o „kurii średniej własności”, ale o powszechnym, równym, taj-

nym i bezpośrednim głosowaniu. Na dobitkę oprócz oświadczenia była uchwała Rady Naczelnej, zalecająca posłom — nie dopuścić do uchwalenia w Sejmie planu finansowego, póki nie ma reformy wyborczej. Nie ulegało też wątpliwości, że posłowie ludowcy wystąpią z Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim. I że ustąpić powinien minister — ludowiec, nawet gdyby to był prawdziwy ludowiec, a nie Długosz — aferzysta naftowy.

I właśnie wówczas, gdy nastąpił dawno zapowiadany zwrot, gdy stronnictwo po pięcioletnich jałowych próbach kompromisów powracało na drogę zdecydowaną, i wspólnej z robotnikami walki, osiągnął je cios — dawno, długo i cierpliwie przygotowywany przez endecję — rozłam.

O tym, że był przygotowywany przez endecję świadczą wypowiedzi nawet tych posłów ludowców, którzy potem zostali piastowcami. Naprz. Józef Jachowicz, sekretarz klubu poselskiego ludowców, pisał 29 marca 1911 r.:

„Metoda działania wszechpolaków (t. j. endeków — R.) polega na tym, aby kłamać, kto im ulec nie chce, albo zupełnie złamać, albo ubezwzględnić do tego stopnia, iżby im nie przeszkadzało. Ludowcy są wszechpolakom cierniem i solą w oku. Zwłaszcza prezes Stapiński jest im straszną przeszkodą w ich samolubnych planach. Dlatego wytyżali wszystkie siły, aby nas albo złamać, albo rozbić i osłabić tak, aby się nas ani obawiać, ani wystrzegać nie potrzebowali. Przy tym ustawicznie zapuszczali sieci pomiędzy nas, aby nas ludowców między sobą poróżnić i rozbić.

Czegoż zresztą więcej potrzeba na dowód ich intryg, jeżeli kolega Ruebenbaer posiada w ręku listy prezesa wszechpolskiej grupy Piasta, w których to listach zachęca p. Ptasz do obalenia prezesa Stapińskiego, a obiecuje w tym pomagać przez wpływanie na innych posłów-ludowców. **Józef Jachowicz**”.

Więc w marcu 1911 r. ci posłowie ludowcy jeszcze się opierali endeckim zamysłom. Ale w czerwcu były wybory do parlamentu wiedeńskiego, po których machinacje endeczek w Klubie Ludowym znalazły oparcie we wnętrzu Klubu. Z 24 posłów-ludowców tylko 18 miało mandaty z woli swego stronnictwa. (I wśród tych dla zachowania „jedności” otrzymali mandaty różni „niezadowoleni”). Reszta przeszła samowolnie przeciw kandydatom ludowcom, podając się za ludowców i po zdobyciu mandatu składając rzewne oświadczenia miłości dla ludu i posłuszeństwa dla stronnictwa. (Przy wyborach w Austrii głosowano

na ludzi, a nie na listy). W ten sposób weszli do Klubu ludowców późniejsi założyciele „Piasta”: Włodz. Tetmajer, hr. Rey, sędzia Banaś, nawet Jedynak... Z wyborów endecy otrzymali tylko 9 mandatów zamiast poprzednich 14-tu, ale za to mieli wzmocnioną bazę w Klubie ludowców. Ze zdwojoną siłą przystąpili do kampanii intryg i oszczerstw. Bo głównym celem ówczesnej działalności endecji w Galicji było opanowanie lub złamanie Ruchu Ludowego. Ślusznie była endecja („wszechpolacy”) uważana przez stronnictwo ludowe za najgorszego wroga, za „największą i najniebezpieczniejszą przeszkodę” na drodze do rządów ludowych. W myśli Kongresu z 1910 r. „ludowcy ze wszystkimi stronnictwami w kraju łączyć się mogą, ale nigdy z Wszechpolakami”.

Wróg ten ufortyfikował się na najtrwalszej pozycji obronnej reakcji — na ciemności, walczył najstrasniejszą bronią — podstępem, obłudą i kłamstwem. Na tę pozycję przeszli do obozu wroga założyciele „Piasta” ze swoją świtą i pismo ich „Piast” przemówiło językiem tych, „co lud tłumnia i z niego drwią”.

Pierwsze numery „Piasta” nie mówią ani o powszechnym prawie głosowania, ani o rządach ludowych, ani o Wolnej Polsce Ludowej; zamiast tych haseł wskazują masom inny cel — walkę o sklepiki i stragany żydowskie. (Patrz Nr 1 „Piasta” z 4.1.1914 r. artykuł-odezwa w stylu pogromowym pt. „Ludowcy a Żydzi”).

Jeśli chropawie, drobnym drukiem zapelnione, kartki „Przyjaciela Ludu” tętnią wiarą w przyszłe i niezawodne zwycięstwo sprawiedliwości społecznej, to z glansowanych i lustrowanych stronic ówczesnego „Piasta” przebija raczej wiara w ciemnotę ludu, w to, że długo jeszcze można go bezkarnie oszukiwać... Oto tłumaczy się tam czytelnikom mniej więcej, tak: jesteśmy stronnictwem radykalnym, a jakże, bardziej niż socjaliści, bo oni nieraz postawiają w Sejmie wnioski i pozwalają mu upaść, a my jak postawimy wniosek, żeby, na przykład, przeprowadzić drogę w jakiejś gminie, to nie pozwolimy mu upaść; czy idziemy razem z endecją? Cóż znowu! jesteśmy przecież dosyć silnym stronnictwem, żeby nie iść z nikim; co to jest socjalizm? — Jest na półkach księgarskich taka gruba i naukowa książka, a w niej jest naukowo dowiedzione, że socjalizm to żydowski wynalazek... itd. itd., a wszystko w pierwszych numerach „Piasta” z 1914 roku. I wszystko przykryte nazwiskiem starego Jakuba Bojki, którego druga dusza, ta pańszczyźniana, zgodziła się na to za cenę miłania prezesa i naczelnego redaktora.

Czy jednak ta wiara w ludzką ciemnotę i łatwowierność nie zawiodła założycieli „Piasta”, gdyby nie przyszła im na pomoc wojna? Gdyby nie wybuch wojny, zamknięcie „Przyjaciela Ludu” w roku 1914, rozproszenie jego czytelników — nigdy nie udałoby się twórcom „Piasta”, ani tak umocnić swej pozycji, ani otoczyć tamtych tak gęstą zasłoną dymną. I tak, pod koniec wojny, w zranieniu niepodległości, musiał p. hr. Lasocki, jako szef administracji piastowo-endeckiej „Komisji Likwidacyjnej” i „Komisji Rządzącej” podeprzeć tę wiarę za pomocą stanów wyjątkowych, pacyfikacji, egzekucji po 25 i 50 kijów na chłopów. Ale o tym potem.

GRUDZIEŃ 1947 r.

- | | |
|---------|---|
| 7 — 8 | Rada Naczelna Stronnictwa Ludowego |
| 6 — 8 | Pierwszy Krajowy Zjazd Związku Walki Młodych |
| 14 — 17 | XXVII Kongres Polskiej Partii Socjalistycznej |

Helena Brodowska

Dawna i obecna funkcja szkoły

1. KOMISJA EDUKACJI NARODOWEJ

Początkowa data powstania szkoły ludowej, w Polsce—to 1773 r. — wtedy to Jan Wierdz, 20-letni młodzieniec, syn ubogiej wdowy jechał z Kielec do wsi pod Częstochową, aby objąć posadę nauczycielską. W roku tym powstała królewska rozwożić zaczęła nauczycieli wyznaczonych przez Komisję Edukacji Narodowej do różnych miejscowości. Na skutek przeprowadzonej w tym czasie kasaty bogatych dóbr jezuitów otwierali się miejsca na szkółki wiejskie. Sąsiedować one musiały z kościołem, gdyż najczęściej umieszczano je w domach parafialnych. Otrzymały nazwę: „szkółek parafialnych”. Nazwa wynikała zarówno z terytorialnego zasięgu szkółek wiejskich, jak i społeczno-kulturalnej funkcji, jaką im wyznaczono. Celem szkółek — według drugiego paragrafu przepisów dla szkół parafialnych było — „oświecanie około religii, około powinności stanu jego, około robót i przemysłu, w tymże stanie” — a dalej szkoła miała pouczyć, „jako i dlaczego podległym być należy”. Fr. Bieliński, członek Komisji, który w piętnastu listach opisał sposób edukacji wprowadzonej przez pierwsze w Europie Ministerstwo Oświaty — żądał należytego oświecenia ludu, „aby mógł umiejętnie chodzić — około roli i dobytku „swe-go pana”.

Komisja Edukacji Narodowej nie miała dostatecznej możliwości subsydiowania szkół parafialnych i zakładania ich. Zadanie to powierzono dobrej woli i hojności obywatelskiej panów dziedziców.

Typową reprezentantką grupy „dobrych panów”, którzy myśli zakładania, a nawet prowadzenia szkółek dla ludu podjęli, była księżna Izabella Czartoryska z Flemingów. Zaślubiona w 1761 r. z Adamem Kazimierzem generatem ziem podolskich w roku wydania Ustawy przez K. E. N. była już w pełni możliwości realizowania ich.

Szkoła K. E. N. pomimo, że uległa zeświecczeniu jednak wysunęła napróżd obowiązek miłości Boga, potem Ojczyzny.

Szkoła, w dalszym ciągu kultywowała cnoty rycerskiego wychowania uszanowania wobec dam, odwagi w boju i ludzkości w pokoju.

Pomimo, że intencje twórców K. E. N. zmierzaly do wyprowadzenia chłopca z poddaństwa i pańszczyzny, szkoła Izabelli Czartoryskiej nie zapomniała o ćwiczeniu dzieci wieśniaków swoich wsi w posłusznej uległości wobec pana i żarliwym obowiązku spełniania wszystkich przypisanych jemu powinności. Wieśniak nie mógł nie wiedzieć, kim jest i jaka jest jego rola społeczno-obywatelska, bo katechizm ułożony przez Ks. Czartoryską pouczał go dość jasno o tym, że jest wieśniakiem, „który robiąc koło roli pracą swoją żywi król, pana — potem — siebie, żonę i dzieci”.

Odwołując się do tego, co już socjolog powiedział o pierwszych szkołach, że „wyrastały z potrzeby przygotowania pewnej części grupy do obcowania i pełnienia funkcji względem obcych” (J. Chałasiński — Wychowanie w domu obcym str. 212), określamy społeczną funkcję pierwszych szkółek wiejskich w Polsce: pierwsze, świeckie szkoły wiejskie, podobnie jak uprzednio szkoły prowadzone przez kościół i szkoły szlacheckie, przygotowywały młodzież chłopską do pełnienia funkcji społecznych, nie uwzględniających potrzeb społeczności wiejskiej.

Szkoła wiejska wyrosła w strukturze społeczno-gospodarczych form pańszczyznianych. Pomimo nowatorskich akcentów pedagogicznych i dydaktycznych, jakie usiłowała wprowadzić K. E. N., szkoła kształtowała się drogą dorównania do systemu, ugruntowując tradycyjno — stanowy podział społeczny na grupę „panów”, których musiała żywić grupa chłopów im poddanych.

IDEAL SZKOŁY WIEJSKIEJ W DOBIE KAPITALIZMU AGRARNEGO

Pokazać szkołę wiejską w związkach z nowym systemem społeczno-gospodarczym rzeczywistości polskiej w dobie popańszczyznianej nie jest łatwo. Tym bardziej, że sytuacja polityczna, w jakiej znalazła się Polska po rozbiorach, gdy wkraczał doń kapitalizm, przesłoniła obraz nową strukturą klasową. Myśl niepodległościowa wykwitająca po przez powstania torowała drogę idei narodowej przesłaniając często społeczną.

W aspekcie kultu dla narodu kształtowała się szkoła wiejska obok szkół w mieście.

Wieszczę przestrogi podnosiły znaczenie warstwy chłopskiej — „żadne nie utrzyma, gdy przez pracy harmonie tradycyjną powiązane z sobą słowo lud i słowo społeczeństwo w dwie się strony rozpręga” (Mickiewicz).

Filozofowie i pedagodzy wyrosli na filozofii „natury” wnoszą do romantycznej teorii społeczeństwa swoiste pojęcie ludu: „Masz ludu to rola, po której rzucone z góry nasiona wschodzą. Kwiatem się rozwina i owoc wydadzą”. Albo: „Lud jest pnem dębu” — narodowego. W tej apoteozie ludu wypowiedziane przez K. Libelta człowieka, który wywarł duży wpływ na rozwój pedagogicznej myśli polskiej kształtowała się funkcja społeczna szkoły wiejskiej.

Kapitalistyczna zasada wolności kupna i sprzedaży majątków, usuwała dawną pańszczyznianą zasadę patriarchalnego stosunku

między kmiotkiem a panem. Nowonabyty kapitał, uważał wioskę nabytą wraz z ludźmi wprost za swoje narzędzie kapitalistycznej maszyny produkcyjnej. Postęp rolniczy musiał być wprowadzony, szkoła stawała się koniecznością nie do ominięcia. Związkiem, że w miarę rozwijania się kapitalizmu dochodziły naciski idei socjalistycznych domagających się szkoły dla wszystkich. W życiu codziennym i w stosunkach ekonomicznych pomiędzy dworem, a wsią panować zaczęła szkoła dzierżawy i wyzysku. „Chłopi płacili asekurację i gdy wieś spłonie, pan pieniądze odebrał, a chłopom kazał się wybudować!” — pisał Lubieński. Narastały konflikty ekonomiczne, pogłębiały się antagonizmy pomiędzy dworem, a wsią. Sytuacja polityczna Polski wymagała natomiast solidarności jednoci narodowej. Idea narodowa poczęła bazować na filozoficzno-etycznych koncepcjach domagając się od ludu wysoce moralnej postawy i kulturalnego dorównania do warstw oświeconych.

Szkoła kształtowana z jednej strony przez władzę zaborczą, z drugiej, przez wyższe warstwy społeczeństwa polskiego miała sprostać owym potrzebom. Zadanie stawało się niewykonalne. Władcy rządzący krajem zabranym wydali ukazy domagające się od szkół elementów, ażeby były „silną podporą do zachowania publicznej spokojności i porządku”. Szkoły początkowe miały zaszczepić w duszach dzieci przywiązanie do władcy „opiekujących się” krajem, miały uczynić je odpornymi na wszelkie podszepty „buntowszczyków, marzących o niepodległości”.

Narodowa zaś sprawa polska wymagała właśnie tego „podszeptowania”. Droga szkoły polskiej prowadziła w podziemia. Postawiła ona sobie obowiązek urabiania filozoficzno-moralnej postawy wychowanków wobec spraw narodowych, nie zauważając narastających konfliktów społecznych. Szkoła pierwsze, doby kapitalizmu agrarnego sięgnęła po znane wzory społeczno-osobowe kościoła i dworu. Oparła się znówu jak w XVIII w. o dwór i plebanie zamykając drzwi przed tym wszystkim, co szło z dalekiego świata, od wyzwalających się narodów. Kapitalizm wkroczył na wieś zmieniając jej sytuację ekonomiczną i strukturę społeczną, a szkoła została nadal z dala od społecznych procesów. Utworzone dozory szkolne, czy jak po 1830 opieka szkolna, zlecana była z reguły księdzu proboszczowi z uprawnieniami wglądu we wszystko, co robił nauczyciel. Ustawy szkolne wyraźnie mówiły, że powstawać mogą szkółki ludowe, tylko w tych wsiach, które o to proszą, będą i przedstawiały potrzebne środki na ich utrzymanie. Oczywiście — ludność wieśniacza o szkoly się nie upominała. Nauka podawana dzieciom wiejskim w szkole w świadomości samej wsi na nie była przydatna. Jeszcze od pokolenia młodych, wypowiadających się w dziele J. Chałasińskiego, wiemy, że starsze pokolenie chłopów żywiło dużą niechęć do szkoły.

O szkołę zabiegał ten, kto widział w niej własny interes, „dobry dziedzic”. Program szkółek elementarnych, obejmujący naukę religii, historii świętej, czytania drukowanych książek i rękopisów polskich, pisania i czterech pierwszych reguł arytmetyki, łącznie z wiadomościami o miarach, wagach, pieniądzu i maszynach rolniczych gospodarstwa wiejskiego, dopomagał do stabilizowania się na wsi systemu kapitalistycznego w interesie wielkich posiadaczy.

Szkoła ludowa pozostawała pod czujną strażą pana, który kapitalizując się, posługiwał się wszystkimi rozporządzalnymi środkami, ażeby lud uczynić narzędziem celów swojej grupy społecznej.

Wychowanie w religijnej uległości i pokorze, oraz kształcenie w rzeczach potrzebnych rolnikowi nie uchybiało w niczym naczelnej funkcji, jaką w tym okresie historycznym szkole wyznaczono.

Szkoła dla ludu — musiała utrwalać stanową chłopską i pilnie strzec, aby chłop nie odważył się oderwać od wsi.

Tego wymagał interes dworu, potrzebującego wielu rąk roboczych, zwłaszcza że inatniejszym okazało się zakładanie gorzelni, cukrowni, browarów, zakładanie plantacji chmielu i chowanie owiec, aniżeli obsiewanie pól zbożem. Przejście na gospodarkę uprzemysłowioną i wyspecjalizowaną wymagało rąk, nie oświeconych głów robotników.

Pod koniec XIX w. na terenie Galicji było nauczycieli wraz ze zbrataniem sobie duchowieństwem 10.000, a arendarzy prowadzących karczyny 20.000.

Na ogólną liczbę 925.000 dzieci szkolnych w Galicji w 1890 r. do szkoły mogło uczęszczać tylko 515.000, a bez nauki chodziło rocznie około 410.000.

Instrukcja Rady Krajowej z 1893 r. wyraźnie ograniczała zakres nauki i rolę szkoły ludowej. „Nie powinna szkoła ludowa odwracać umysłów młodzieży od stosunków, wśród których młodzież ta wzrasta i budzić w niej żądy wydobycia się z tych stosunków, żądy sztucznej, dla ogółu do osiągnięcia niemożliwej, pozostawiającej po sobie najeźdźcą gorycz i niechęć do pracy, a szkółki dla młodzieży fachowego wykształcenia, może jednak szkoła ludowa oświecić młodzież o warunkach i zadaniach jej przyszłych zawodów i osiągnąć cel dwójaki, najpierw ułatwić jej pracę praktyczną przez nabywanie wiadomości, a następnie wzbudzić sz-

czekanie i przywiązanie do pracy, dać (jej) zadowolenie wewnętrzne, które jest najlepszą rekojmnią społecznego ładu”.

3. PROBA STWORZENIA SZKOŁY CHŁOPSKIEJ

W dobie kapitalizmu przemysłowego i finansowego szkoła powszechna nie uległa bar dziej zasadniczym zmianom. Dostosowana do ustroju kapitalizmu agrarnego utrzymywała się na wsi w dawnych wzorach społeczno-osobowych kościoła i dworu, nie mogąc sprostać nowym potrzebom rozwijających się miast i miasteczek przemysłowych. Rozdźwięk pomiędzy szkołą w mieście, a szkołą na wsi pogłębił się w tym okresie. Miejska szkoła powszechna organizowała się jako podstawa średniej szkoły ogólnokształcącej. Wieś nie wciągnięta w procesy tworzenia się nowych form produkcyjnych i nowej kultury kapitalistycznej stała na uboczu. Od czasu do czasu uderzona kryzysem, czy nowa obniżka cen piodów rolnych, zdobywała się na szkołę powszechną, która mogła być szczeblem wstępnym najwyżej do seminarium nauczycielskiego i duchownego.

Pomimo że w okresach rozwijającego się przemysłu zaistniały możliwości odpływu dla bezrolnych i małorolnych z przeludnionych wsi i gospodarstw, wieś nie podejmowała ich skwapliwie. Droga wyjścia ze wsi nie była dla chłopów łatwa. W. Kula pisze: „Przejście (ze wsi) do przemysłu, czy też emigracji, połączone były z trudnościami olbrzymimi i co najważniejsze, nie dającymi się przewidzieć i wymierzyć”. Droga wyjścia ze wsi nie była dla chłopów łatwa. Wiemy o tym z wielu autobiografii chłopskich synów, ich wspomnień i pamiętników. Pomimo to szkoła była jednym z warunków nie do ominięcia dla indywidualistycznych dążeń do wyjścia ze wsi na „pana”.

Idea wychowania narodowego z okresu zaborów zastała zastąpiona w okresie międzywojennym ideą wychowania obywatelskiego. Nauka historii Polski i języka ojczystego zawsze temu celowi służyła.

Co nauka tych przedmiotów dawała dziecku wiejskiemu? Odpowiedź znajdziemy w IV tomie Młodego Pokolenia Chłopów J. Chałasińskiego, w przeglądzie podręczników używanych w szkole przedwojennej. Np. z podręcznika dla V klasy szkoły powszechnej pt. „Dzisiaj i dawniej na ziemiach polskich” Janiny Schönbrunner dowiadujemy się, że: „Polska była własnością księcia, nie ludności; on mógł ziemię rozdać, dzielić ją pomiędzy swych synów, tak jak np. dzisiaj właściciel wsi może ją podzielić między swe dzieci”. Dalej dowiadujemy się, że „zupenie inaczej syny wiejskie niż syny wieśniaka, inaczej syn rzemieślnika lub kupca, jeszcze inaczej syn rycerza”.

O chłopach jako grupie społecznej dowiadywał się, że „zaopatrują oni miasta i osady fabryczne w żywność — zapewniają szeregi wojska najdrowszym i najwytrwalszym żołnierzem, dostarczają innym, wyżej postawionym grupom społecznym dzielnych pracowników”. O ziemiaństwie natomiast dowiadywał się, że „posiada wysoki wykształcenie i że spełnia ważne zadania w naszej gospodarce społecznej”.

Józef Chałasiński stwierdza w końcu, że szkoła marnotrawiła własny dorobek społeczno-kulturalny. Analfabetyzm zwany wórnym, był w istocie zjawiskiem pierwotnym, tkwiącym w analfabetyzmie społecznym samej szkoły. Szkoła nie wnosila treści kulturalnych, wiążących się z życiem wsi i jej potrzebami, dlatego też nie budziła żadnego niepokoju intelektualnego u swoich uczniów.

Szkoła społeczności wiejskiej okresu międzywojennego podobnie zreszła jak okresów poprzednich nie dorastała do problemów rzeczywistości społecznej, kulturalnej i politycznej.

W dobie kapitalizmu agrarnego zróżnicowanie ludności wiejskiej poszło w kierunku proletaryzacji. Powiększyła się liczba bezrolnych, którzy stworzyli poważną grupę społeczną tzw. czeladzi folwarcznej. Komorników i wyrobników, przytulonych do samodzielnego gospodarujących chłopów, była ilość nie mała, zwłaszcza na terenie byłej Galicji. Pomiędzy mało, średnio i wielkorolnymi chłopami istniały również poważne różnice nie tylko w warunkach bytowania, ale we wręcz sprzecznych interesach ekonomicznych i politycznych.

Chłop wielomorgowiec łatwiej dogadywał się z księdzem plebanem i dziedzicem, a także z równie majątnym gospodarzem z drugiej wioski, aniżeli z sąsiadem o miedze, biedniejszym o pięć hektarów chłopem.

Szkoła społeczności wiejskiej kształtowała się poza rzeczywistością chłopską, w objęt-ności na zróżnicowania występujące na wsi od dziesiątków lat.

Józef Chałasiński pokazał, że ruch młodziejski pragnął zmieniać szkołę, podporządkowując ją „zbiorowym dążeniom wsi i warstwy chłopskiej”. Ruch młodziejski pragnął widzieć szkołę wiejską w nowej funkcji społeczno-kulturalnej. Ale pragnienie to szło w kierunku odgródnienia się od kultury szlacheckiej i mieszczańskiej. Szkoła chłopską miała pomóc w wytwarzaniu własnej kultury chłopskiej.

Na tym tle staje się zrozumiała ideologia pierwszych szkół rolniczych, uniwersytetów ludowych i związków młodzieżowych jako szkół chłopskich.

Pozaszkolne formy oświaty, jakie młodzież chłopską organizuje, zagrożone były odcię-

ciem od rozwiniętych struktur wiedzy, techniki i kultury narodowej i światowej. Nieświadomie pogłębiały one społeczną izolację, wsi, jej pozycję warstwy i stanu”.

Przytłaczający system kultury szlachecko-mieszczańskiej ciążył również na szkole wiejskiej. Pragnąc wyzwolić się od niego młodzież chłopską szukała pozaszkolnych form oświaty.

4. SZKOŁA DZISIEJSZA

Szkoła chłopską, jako synonim swego izolacjonizmu i separacji społeczno-politycznej, nie może być wyznacznikiem historycznym funkcji społecznej szkoły dzisiejszej.

Nie może być również, ze względu na zespół treści kulturalnych za jej pośrednictwem przekazywanych.

Zmieniona politycznie i ustrojowo sytuacja ustawiła warstwę chłopską w nowej pozycji społecznej i narodowej. Chłop przestał być traktowany wyłącznie jako przedmiot opieki wyższych warstw kulturalnych, czy też tylko jako przedmiot administracji państwowej. Rola administrowania, gospodarowania i tworzenia nowych wartości kulturalnych została wyznaczona chłopu wespół z robotnikiem.

Zreformowane i na nowych zasadach oparte podstawy gospodarcze państwa zmieniają strukturę społeczną narodu.

Trzy elementy systemu szkolnego: 1) organizacja, 2) treść intelektualno-ideologiczna oraz 3) metoda są środkami społecznego oddziaływania szkoły na młodzież i całe środowisko. Nowo opracowane podręczniki szkolne dostarczają nowych treści nauczania.

Sprawa organizacji nowej szkoły, opartej na zasadzie jednolitości, została rozstrzygnięta w sposób dostosowany do całości społeczno-politycznego systemu. Nie zachodzi obawa o to, że jakaś szkoła typu zawodowego zaprowadzi swojego dyplomanta w „słup” uliczkę. Żadne dziecko chłopskie rozpoczynające edukację w najodleglejszym Goładowie nie musi pozostawać w tyle w swoim marszu szkolnym w stosunku do dziecka mieszkającego w stolicy. Nie czeka go również praca samouka, gdy zapragnie kształcenia się na stopniu wyższym. Formalno-prawne zapory zostały usunięte.

Fakt przejęcia przez państwo przemysłu i oddania fabryk Radom Zakładowym, to dopiero początek przeobrażeń społecznych. Uspołecznienie przemysłu wypowie się dopiero w całej pełni w uspołecznionym robotniku. Reforma rolna dała dopiero podstawę pod przebudowę społecznej struktury wsi. Muszą przyjść dalsze i dalej idące reformy w pracach własności, w instytucji rodziny, w stosunku do kościoła. Te nowe reformy powinny być podjęte przez szkołę na gruncie zrozumienia reform podstawowych.

Użycie odpowiednich metod kształcenia i wychowania dopomocze osiągnąć pożądany stopień uspołecznienia gospodarstwa i człowieka. Domoże właśnie w stylu życia chłopca i robotnika zobaczyć wartość i istotny sens wszystkich dotychczasowych reform.

J. Chałasiński pisze: „Nowy polski system kształcenia i wychowania musi się oprzeć na uczestnictwie i współdziałaniu całej młodzieży w budowie nowej rzeczywistości polskiej, w realizowaniu wielkich obiektywnych zadań społecznych, kulturalnych, gospodarczych i politycznych Polski ludowej”. Szkoła nigdy nie może pretendować do całkowitego zawiadnięcia swoim wychowankiem. Przeciwnie, szkoła musi wprowadzić swego wychowanka w bliski kontakt z instytucjami i urządzeniami życia zbiorowego. Skoro tylko szkoła przygotowuje swoich wychowanków do nawiązywania kontaktów w sensie czynnego współdziałania z instytucjami i urządzeniami życia zbiorowego, wejście na drogę nie tylko prawdziwie obywatelskiego kształcenia, lecz sama przełamie swoje administracyjno-biurokratyczne odosobnienie.

Należy oczekiwać, iż nowy system kształcenia i wychowania, który pozwoli szkole dzisiejszej spełnić swoją funkcję społeczną wytworzy się właśnie ze współdziałania szkół z instytucjami życia zbiorowego i z ruchem chłopsko-robotniczym.

Polityczna funkcja szkoły jest jej historycznie wyznaczona. Czy, gdy podręcznik nauki moralności mówił: „zawczasu naucz się być kontent ze swego stanu” — nie wyznaczał politycznej roli szkole utrzymywanej przez szlachtę dla swoich poddanych? Albo, gdy galicyjska Rada Krajowa nakazywała swojej szkole by się stała „najlepszą rekojmnią społecznego ładu” — czy nie była to polityka? Czyż szkoła galicyjska chciała wprowadzić ład sprawiedliwości społecznej i w rozdziale dochodu społecznego, czy też po smutnych doświadczeniach 1846 r. chciała przez szkołę zapewnić sobie spoko,ność chłopów, by już nigdy przeciwko panom nie wystąpili?

Polityczność szkoły w okresie pańszczyznianym i popańszczyznianym wyrażała się właśnie w tym, że ksiądz i pleban przyszaczał przez szkołę tyle, ile leżało w ich własnym czy też całej warstwy władających — interesie. Szkoła była polityczna w stosunku do chłopów, do wsi, była polityczna dla dworu i plebanii. Polityczna funkcja szkoły dziś jest wprowadzenie warstwy chłopskiej w procesy życia kulturalnego całego narodu.

*) Patrz szczegółowo J. A. Król „Zadanie dla Wiciarzy”, „Wiś Nr 47 (126)”.

Maurycy Jaroszyński

Samorząd w ustroju kapitalistycznym *)

1) PAŃSTWO „OGRANICZONE”

Na ukształtowanie się w przeszłości koncepcji — i ideologii — samorządu wpłynęły w stopniu istotnym te same przyczyny, które wytworzyły panującą podówczas koncepcję i ideologię samego państwa.

Rozwijającemu się nowoczesnemu kapitalizmowi dogadzała liberalna doktryna państwa ograniczonego. Wolność (formalna i rzekoma) jednostek nade wszystko — oto naczelna zasada, z której wypływa tendencja do ograniczenia zakresu działania państwa do najbardziej koniecznego minimum: w istocie rzeczy do takiego minimum, które by skutecznie broniło podstaw kapitalistycznego ustroju. Wprawdzie władza w państwie należy do panującej gospodarczo klasy, ale wykonywa się ją za pośrednictwem stosunkowo skomplikowanego aparatu i przy pomocy z konieczności rozbudowanej sieci organów różnego rodzaju. Owa pośredniość i skomplikowanie przedstawia pewien procent ryzyka, zwłaszcza, że w organa państwowe wdzierają się elementy, których zależność od panującej klasy jest nie zawsze zupełnie wyraźna, a nawet elementy wrogie. Dlatego bezpieczniej jest ograniczać, gdzie tylko można i gdzie interes klasowy na to pozwala, zakres działania władzy państwowej, choć w zasadzie i w całości jest ona własną władzą panującej klasy. Bezpieczniej pozostawiać to wszystko, co się pozostawiać daje „wolnej” grze sił, inicjatywie „prywatnej” (choć inicjatywę rzeczywistości indywidualna monopolistyczna kapitał znakomicie dusi), czy inicjatywie „społecznej” (co nie przeszkadza, że niebezpieczne dla panującej klasy przejawy tej inicjatywy tępi się bezwzględnie właśnie przez władzę państwową). Słowem — bezpieczniej pozostawiać wszystko, co się da, bezpośredniemu wpływom panującej klasy tj. obywać się bez pośrednictwa organizacji państwowej. Równocześnie wszystko to, co się w kwiaty obróci wolności jednostki i wolności „społeczeństwa” przed tyranią władzy państwowej.

Mimo takich założeń faktyczny rozrost zakresu działania państwa kapitalistycznego jest olbrzymi, dochodzi bowiem powszechnie do form „gospodarki kierowanej”. Różne, na to składają się przyczyny. A więc faktyczne komplikowanie się stosunków życia społecznego, zmuszające do ingerencji państwa czy się to komu podoba, czy nie. I konieczność wtrącania się państwa, aby tym skuteczniej bronić podstaw ustroju kapitalistycznego czy ostatecznie nie taki jest sens „walki z kartelami” w Ameryce, jako że prywatne monopole dyskredytują kapitalizm? Albo czy upublicznienie szkolnictwa powszechnego nie podtrzymuje panującego ustroju, kiedy za pośrednictwem szkoły wszczepia się światopogląd, sprzyjający temu ustrowi? I wreszcie konieczność pewnych ustępstw na korzyść (iż często pozorna!) klas uciśnionych (zwłaszcza, gdy wskutek swej organizacji poczynają być groźne), aby za tę cenę okupić utrzymanie podstaw panowania klasy kapitalistów. I zapewne wiele innych przyczyn. Ale pomimo tego olbrzymiego faktycznego rozwoju ingerencji państwa — ideologia pozostaje do końca niezmieniona i zdecydowanie antyetatystyczna.

2) SZRANKI PRZECIWKO „WSZECHWŁADZY PAŃSTWA”

Samorząd, w postaci przede wszystkim gminy, istniał od dawna w momencie kształtowania się państwa liberalistyczno-kapitalistycznego, uświadomienia sobie jego koncepcji i narastania odpowiedniej ideologii. Należało go przeto gdzieś umieścić w tym nowym obrazie układu sił i instytucji społecznych. Uczyniono to według recepty, jaką daje doktryna liberalna.

Państwo winno być ograniczone. Ograniczenie ma się koniecznie przede wszystkim na korzyść jednostki w imię jej rzekomej wolności, ale także na korzyść mniejszych grup społecznych w obrębie państwa, przede wszystkim więc na korzyść grup miejscowych, zorganizowanych w samorządzie. Trudno bowiem było zaprzeczyć, że istnieją potrzeby, których się nie da zaspokoić wysiłkiem jednostek. Niech je więc zaspokajają organizacje mniejszych grup społecznych, przede wszystkim gmina. Ale gmina — pojęta tak, jak jednostka, a więc jako odrębna od państwa indywidualność, posiadająca odrębne od państwa i państwu przeciwne sprawy i interesy. W ten sposób powstaje koncepcja gminy względnie samorządu w ogóle jako jednej z form organizacyjnych, które mają bronić społeczeństwa przed państwem. Te idee wypowiadają bez ogródek koryfeusze nauki prawa, zamykający niejako okres liberalistyczny, których teorie stanowią kwintesencję tego okresu. I tak niemiecki uczyony Fritz Fleiner powiada: „Samorząd tworzy szranki przeciwko wszechwładzy państwa”. Francuz Maurice Hauriou powiada zaś: „Centralizacja jest siłą własną rządu państwa, decentralizacja jest ta siła, przez którą naród reaguje przeciwko rządowi państwa”.

Takiemu ujęciu ideologicznemu odpowiadają normy i konstrukcje prawne, które dotrwały aż do naszych czasów. A więc z jednostek samorządu tworzy się korporacyjne „osoby publiczno-prawne”, odrębne od państwa, posiadające „własne” sprawy i prawa, odrębne, albo nawet przeciwstawne sprawom

ogólnopañstwowym. W konsekwencji dochodzi do tego, że nawet wtedy, kiedy organ samorządu załatwia pewne kategorie spraw, nie należących do niego, jako sprawy „własne”, uważa się je za sprawy cudze, bo państwowe, poruczone jedynie do wykonania samorządowi. Moment niezależności i samodzielności wysuwa się na czoło, jako główny rys charakterystyczny instytucji samorządu w tym okresie.

Rozwinęła się wprawdzie tzw. „państwowa” teoria samorządu, która głosi, że na tle faktycznego rozwoju instytucji państwa konstruowanie instytucji samorządu na podstawie przeciwstawności samorządu z jednej, a państwa z drugiej strony, straciło wszelkie uzasadnienie, a wraz z nią nie ma już uzasadnienia konstrukcja publiczno-prawnej osobowości samorządu, spraw „własnych” itd. i że samorząd jest w istocie rzeczy odmienną formą sprawowania administracji państwowej. Jednakże teoria ta, acz nienaganna i ciesząca się dość dużym powodzeniem wśród teoretyków, nie odpowiadała tendencjom politycznym i poczuciu ogólnemu i pozostała jedynie naukową teorią.

3) SAMORZĄD PUNKTEM OPORU „LEWICY”

Ten nurt myślenia, kształtujący pojęcia państwa i samorządu, idący, powiedzmy, z prawa, złączył się w rezultacie, o ile chodzi o ideologię samorządu, z innym nurtem, idącym z wręcz przeciwnego kierunku, mianowicie z lewa. Jest bowiem rzeczą naturalną, że klasy uciśnione odnosiły się do państwa negatywnie, albowiem państwo było dla nich przede wszystkim narzędziem klasowego ucisku. Na tym podłożu rozwijały się tendencje, sprzyjające tworzeniu szanów przeciwko wszechwładzy państwa i szukaniu w niezależnym samorządzie takich właśnie szanów, stosunkowo skuteczniejszych, niż inne. Tym się, między innymi, tłumaczy to paradoksalne na pozór zjawisko, że w obozie „samorządowców” znajdowali się, obok przedstawicieli panującej klasy, także najlepsi przedstawiciele lewicy.

Ale zjawisko, o którym mowa, tłumaczy się jeszcze innymi przyczynami. Oto w samorządzie działają bezpośrednio przedstawiciele ludności. Prawda: działanie to obraca się w ciasnych granicach, w których zamknięto samorząd, oddając przeważającą część administracji bezpośrednio w ręce zawodowej biurokracji państwowej. Prawda, że działalność samorządu poddana nawet w tych ciasnych granicach rygorystycznemu nadzorowi tejże biurokracji. Prawda również, że przez odpowiednie przykrawywanie systemów wyborczych do potrzeb panującej klasy utrudniano

osiąganie rzeczywistej reprezentatywności ludności w samorządzie (w Anglii do r. 1945 wybory do przedstawicielstw lokalnych nie były ani równe, ani nawet powszechne!). Prawda wreszcie, że samorząd zepchnięty do roli kopciuszka już w samych założeniach prawnych, spychano jeszcze niżej przez nadużycia praktyki. Jednakże mimo to wszystko i w najgorszych nawet warunkach samorząd był niejakiym krokiem ku demokracji, który ceniono tym więcej, im bardziej zawodziła formalna demokracja parlamentarna. Mimo wszystko, bo nawet w okresie panowania Chienopiasta czy sanacji, możliwe było istnienie, jako wyjątków od reguły, „czterwonych” Czeladzi, Radomiów, czy Piotrków, czy też gmin i powiatów ludowcowych. Albo bez względu na wywieszki partyjne, możliwe było tu i ówdzie powoływanie rzeczywistych reprezentacji ludności, które w tych bardzo ciasnych granicach, mogły jednak coś dobrego dla tej ludności zrobić. Te skromne możliwości były szczególnie cenne dla warstwy chłopskiej, jako że chłop wskutek swego przywiązania do ziemi (nie sentymentalnego, lecz spowodowanego warunkami ekonomicznymi) miał znacznie mniej szans, mniej nawet niż robotnik miejski, na wyzycie się społeczne w innych, szerszych organizacjach i z natury rzeczy był skazany głównie na formy samorządu miejscowego.

Oczywiście wszystkie te możliwości razem wzięte były bardzo skromne i stanowiły zalety drobne wylony w ogólnym systemie. Per saldo system państwa obszarniczo — kapitalistycznego trwał w całej pełni. Jednak ceniono szanse robienia wyłomów. To też uważano, że im samorząd jest bardziej odrębny od państwa i bardziej niezależny — tym lepiej, bo wtedy szanse robienia wyłomów są większe.

Jeszcze jeden moment zasługuje na uwagę. Oto na ideologii samorządu w Polsce zaciążyła bardzo wyraźnie pamięć niedawnych zaborów. Bo że w okresie niewoli uważano samorząd, jako główną instytucję publiczną polską, za instrument walki z obcą państwowością, było rzeczą najzupełniej naturalną.

Pod wpływem wszystkich tych czynników wytworzył się istotny element koncepcji samorządu w minionym okresie, opierającej się w gruncie rzeczy na idei przeciwstawności państwa i społeczeństwa.

4) W USTROJU POLSKI LUDOWEJ

Zreasumujmy. Pod wpływem ówczesnego układu rzeczywistych stosunków wytworzyła się koncepcja samorządu, opierająca się na dwóch głównych elementach: **przeciwstawności spraw lokalnych i spraw ogólnym i przeciwstawności społeczeństwa państwu.** —

Pod wpływem tej koncepcji powstały odpowiednie konstrukcje prawne w postaci odrębnej od państwa osobowości publiczno-prawnej jednostek samorządu, spraw własnych samorządu w przeciwieństwie do spraw państwowych i prawnych gwarancji względnej niezależności samorządu.

Do tych dwóch podstawowych dołączył się następnie trzeci element: demokratyczny charakter samorządu, wynikający z bardziej bezpośredniego udziału ludu w załatwianiu spraw publicznych za pośrednictwem instytucji samorządowych, aniżeli było to możliwe w stosunku do innych instytucji, zwłaszcza w stosunku do centralnego parlamentu, parlamentarnego rządu i od rządu zależnego aparatu biurokratycznego. O ile jednak dwa pierwsze elementy były dominujące, o tyle ten trzeci był raczej dodatkowym, bynajmniej nie powszechnie uświadomionym i uznanym, raczej wyrazem tęsknot i dążeń i zawołanien bojowym klas upośledzonych, aniżeli akceptowanym faktem.

Ten trzeci element i ich pochodne złożyły się na bagaż koncepcyjny, ideologiczny i prawny, z którym po wyzwoleniu weszliśmy w okres naszej demokracji ludowej. Czy jest on zgodny z założeniami tej nowo demokracji i konsekwencjami tych założeń? Oto dręczące pytanie, które musimy rozstrzygnąć szybko i wyraźnie.

Pierwszy element stracił wszelką rację już dawno, w każdym razie na długo przed dokonaniem przewrotu. — Przecistawianie spraw lokalnych sprawom ogólnym przeżyło tym bardziej, obecnemu układowi stosunków i tendencjom ich rozwoju. Współzależność grup miejscowych i ich związek z całością stały się dzisiaj tym bardziej oczywiste, a szybkość włączania spraw ogólnych miejscowych w nurt ogólny — miarą społecznego postępu. Klasom świeżo wyzwolonym, a zwłaszcza klasie chłopskiej, która najdalej pozostała w tyle w ogólnym rozwoju, zależeć dziś specjalnie musi na szybkim włączeniu się w postępowy nurt ogólny — miarą społecznego postępu. Klasom świeżo wyzwolonym, a zwłaszcza klasie chłopskiej, która najdalej pozostała w tyle w ogólnym rozwoju, zależeć dziś specjalnie musi na szybkim włączeniu się w postępowy nurt ogólny — miarą społecznego postępu. Klasom świeżo wyzwolonym, a zwłaszcza klasie chłopskiej, która najdalej pozostała w tyle w ogólnym rozwoju, zależeć dziś specjalnie musi na szybkim włączeniu się w postępowy nurt ogólny — miarą społecznego postępu. Klasom świeżo wyzwolonym, a zwłaszcza klasie chłopskiej, która najdalej pozostała w tyle w ogólnym rozwoju, zależeć dziś specjalnie musi na szybkim włączeniu się w postępowy nurt ogólny — miarą społecznego postępu.

Powtarzam: wyeliminowanie wszelkiej przeciwstawności interesów lokalnych ogólnym z koncepcji samorządu nie przeszkadza uwzględnianiu warunków lokalnych przy zapakowaniu potrzeb społecznych i uszeregowaniu lokalnego kolorytu administracji państwowej, gdy tego zażąda potrzeba. Dla tego też nie trudno znaleźć odpowiednie rozwiązania.

Punkt ciężkości zagadnienia spoczywa jednak w drugim elemencie dotychczasowej koncepcji samorządu, mianowicie: przeciwstawności społeczeństwa i państwa. Albowiem do bardzo niedawna istniały wszelkie obiektywne powody, aby jedno przeciwstawić drugiemu. Państwo było narzędziem panowania jednej klasy nad resztą społeczeństwa, drobnej mniejszości nad masami.

Ale właśnie niedawno dokonany przewrót odmienił z gruntu i jak gdyby odwrócił całą sytuację pod tym względem. Wraz z unarodowieniem głównych środków produkcji w przemyśle, uspołecznieniem znacznej części handlu i radykalnym przeprowadzeniem reformy rolnej państwo zmieniło całkowicie swój dotychczasowy sens: przestało być narzędziem panowania jednej klasy nad całym społeczeństwem.

Z interesującego nas punktu widzenia dokonana zmiana przedstawia doniosłość olbrzymią. Bo oto przepaść, która dzieliła państwo i społeczeństwo, została nagle zasypana. Dokonany przewrót gospodarczy i społeczny umożliwia postawienie znaku równości między pojęciami państwo i społeczeństwo. Dlatego nie ma już przeciwko komu budować szanów obronnych w postaci samorządu pojętego tak, jakiegoś go do niedawna pojmowali. Bagaż koncepcji odrębnej publiczno-prawnej osobowości samorządu, spraw własnych, prawnej ochrony niezależności itd. — stał się już bagażem całkowicie zbędnym i szkodliwym, bo przeszkadzającym w konsekwentnym rozwoju na podstawach demokracji ludowej. Jakżeż tu mówić o samorządzie w starym tego słowa znaczeniu, kiedy całe państwo, rzeczy można, zostało usamorzadowione?

Tak więc i drugi z istotnych elementów starej koncepcji samorządu stracił całkowicie rację swego istnienia.

Dziś tedy możemy już mówić o uspołecznieniu państwa w jego zasadniczej koncepcji. Jednakże realizacja tej koncepcji wymaga czegoś więcej, aniżeli przyjęcia zasady. Wymaga mianowicie struktury organizacyjnej państwa, odpowiadającej tej zasadzie. Takiej struktury, która by gwarantowała rzeczywiste rządy ludu — w ogóle i w szczególności.

I tu dochodzimy do trzeciego pierwiastka w koncepcji samorządu: do demokratyczności tej instytucji. Pierwsze dwa główne jej elementy odpadły, straciwszy wszelkie uzasadnienie w nowych warunkach życia społecznego. Natomiast ten trzeci, dotychczas raczej dodatkowy i uboczny, obecnie nie tylko wysunął się na czoło, ale prosto pozostał sam jeden na placu. Rozbudowa tego pierwiastka równa się uludowieniu i uspołecznieniu organizacji państwowej.

c. d. n.

Jan Bolesław Ożóg

W I E R S Z E

Z W R O T

Sztandar zakłęty w dumnym rymie,
Nike z batalii — na lawecie
i w piersi bite wielkie imię
jak profil wodza na monecie.

Rzeczpospolita z krwi i bomb,
nowa, w bój chrzczona i wichurę,
w srebrzystej grzywie groźnych trąb
jak chytry wąż, gdy zmienił skórę.

DZIEŃ ŚW. SZCZEPANA

Nie byłem ja z tych, którym drzwi się otwiera z Bogiem.

*

Droga na las, nakryta rdzą, kością i choiną
i niezgrabny podkólek człowieka na śniegu,
ach, oczami żalości na zawsze urzeczony!..
Kołodowały domy już, spokojne i płowe,
nad strugą szare mostki jak przepiórki pluskaly.
Ledwie kij włóki się, ledwie przystanął u okien
i ledwie piersi (z opłatkiem) krew splakały ustami.
Właśnie wam kantyczki opuściły dolinę:
olbrzymie fale muzyki, muzyczne pokłony,
zmierzch w ciszy zielonej śnieg jak siano szatkował.
Za oknem przepłynęły sny — czarnosrebrne loki.
Kaleczył się — widziałem — cień komży po mnie tamtym
Wiesz, przeszył mię śpiew bólu tak słodki jak ramię
i usta niepodane i rozpacz po brzegi.
Drzewa, młczenia! — wylem. Zbudziły się i drżały.

(Z tomu wierszy „Jej Wielki Wóz”, który ukazał się nakładem Oddziału Wiejskiego ZZLP)

*) Patrz M. Jaroszyński: „Opory starych ideologii” „Wies” nr. 47 (126).

Maria Żmigrodzka

Źródła dynamiki rozwoju powieści

GATUNEK LITERACKI

We współczesnym literaturoznawstwie pojęcie gatunku literackiego odgrywa pierwszorzędą rolę. Gatunek to najważniejsze bodaj pojęcie klasowe, pozwalające wyodrębnić w sposób pewny jednorodne grupy faktów literackich, co posiada kluczowe znaczenie zarówno dla zagadnienia naukowej klasyfikacji, jak i dla stworzenia naukowej języka literaturoznawstwa.

Historię literatury konstruować możemy w sposób poprawny jedynie poprzez historię ewolucji gatunków literackich, badając formy powstawania i kształtowania się rodzajów na gruncie określonych warunków społecznych i ustalając związki i zależności pomiędzy rozwojem gatunku a całokształtem życia społecznego.

Poprzez historię gatunku da się najwyraźniej wydobyc zasadnicze dla humanistyki zagadnienie dynamiki zjawisk kulturowych przez ustalenie praw i sił społecznych, kierujących formowaniem się rodzaju literackiego.

Pojęcie gatunku literackiego przybierało odmienną postać na gruncie różnych koncepcji kultury. Różnym był tu nietylko sam schemat klasyfikacji — gdyż naogół nie kwestionuje się przyjętych powszechnie terminów — ale raczej podstawa podziału i charakter wyodrębnionej w ten sposób klasy zjawisk.

NATURALISTYCZNE INTERPRETACJE LITERATURY

Literaturoznawstwo pozytywistyczne, pozostające pod sugestią rozwoju nauk przyrodniczych, uważało ewolucję świata nadorganicznego za przedłużenie rozwoju świata organicznego. Rozwój ten miał w obu wypadkach przebiegać identycznie. Brunetiere próbował rozpatrywać gatunki literackie tą samą metodą, co zwierzęce. Gatunek literacki miał przechodzić od powstania do zaniku wszystkich fazy rozwojowe, właściwe organizmowi biologicznemu. Kryterium klasyfikacji, to podobnie jak w systematyce zoologicznej kryterium budowy — więc w odniesieniu do dzieła literackiego kryterium formalne. W rozwoju gatunków literackich dostrzegł Brunetiere działanie mechanizmu praw Darwinowskich — walki o byt i doboru naturalnego. Stwierdził, że w wyniku konkurencji między formami literackimi zwycięstwo odniesie musi forma, najlepiej odpowiadająca wymaganiom życia. Wśród czynników wpływających na modyfikację gatunków wymienia wprawdzie Brunetiere rasę, środowisko, indywidualność, ale w pierwotnym sformułowaniu bardziej rozstrzygająca jest zasadniczo linia rozwoju gatunku, zdeterminowana ogólnymi prawami jednokierunkowej ewolucji. Dynamika rozwoju gatunku literackiego nie wyznacza żadnej odrębnej rzeczywistości humanistycznej — podlega ogólnym prawom przyrodniczym — np. przechodzenia od form prostszych do bardziej skomplikowanych.

W IDEALISTYCZNEJ Koncepcji KULTURY

Zagadnienie gatunku na terenie idealistycznej koncepcji kultury kształtowało się jako zasada wyboru formy, odpowiadającej strukturze duchowej artysty — rozwój lub zanik pewnego gatunku w określonej literaturze narodowej uwarunkowany jest w ramach tej kultury „psychiką narodową” lub „osobniczą” i jej dyspozycjami wewnętrznymi, gozdzącymi się lub sprzecznymi z właściwościami gatunku. Dynamika rozwoju gatunku sprowadza się do idealistycznej koncepcji dwóch prądów, dwóch stylów kultury, które kształtując typ umysłowości generacji, naprzemiennie potęgują rozwój liryki lub epiki, subiektywizmu i obiektywizmu literackiego itp. W innym nieco ujęciu będzie się mówić o doświadczeniu historycznym, wytwarzającym w psychice narodowej nowe dyspozycje lub niszczącym dawne.

FORMALIZM

Według formalizmu podstawą klasyfikacji są jedynie cechy formalne. Rozwój gatunku następuje na zasadzie wewnętrznej komplikacji w ramach danego ciągu literackiego, izolowanego od szerszego kontekstu społecznego. Dynamika wpływów literackich, nie wyjaśniająca procesów recepcji pewnych zjawisk literackich, czy słabości innych, rozwój gatunków, odbywający się na drodze wzajemnego oddziaływania starć czy nawet zmagania dwóch gatunków — oto formalistyczne widzenie procesów literackich.

SOCJOLOGICZNE BADANIE LITERATURY

Socjologiczna koncepcja literatury za podstawę klasyfikacji przyjmuje nietylko cechy formalne — jak w trzech powyższych kierunkach — ale funkcję społeczną gatunku literackiego. Dynamika rozwoju gatunku będzie uzależniona od rozwoju stosunków społecznych, z których określona forma związana jest powstanie danych rodzajów literackich.

Rozważanie procesów literackich na tle szerszego kontekstu społecznego pozwala metodzie socjologicznej uzyskać pełnię ścisłości i sprawdzalności.

SPÓR INTERPRETACYJNY NA PRZYKŁADZIE POWIEŚCI

Jak przedstawia się zagadnienie dynamiki rozwoju gatunku literackiego na konkretnym przykładzie np. powieści realistycznej?

Pośród przytoczonych stanowisk kierunków metodologicznych można wyeliminować koncepcję naturalistyczną, która, zwłaszcza w swej biologizującej odmianie, nie znajduje dziś zwolenników. Zresztą nawet Brunetiere nie traktował jej zbyt rygorystycznie, przyznając w późniejszych dziełach większą rolę wpływowi środowiska i jednostki.

Charakterystycznym będzie natomiast stanowisko formalizmu w tej sprawie.

Rozdział poświęcony powieści w „Poetyce” B. Tomaszewskiego, cenionego formalisty rosyjskiego, jest doskonałym przykładem, do jakich absurdów doprowadzić może klasyfikacja formalna, rezygnująca z wszelkiego wglądu w funkcję gatunku literackiego w życiu społecznym. Powieść współczesna, obyczajowa, społeczna zaliczył Tomaszewski do powieści psychologicznych, których mistrzem był... Balzac, kryterium zaś formalne wyróżniające utwory tego typu to intryga miłosna, a najciekawsze... intryga cudzołóstwa (temat niewierności małżeńskiej) (!).

Tyle ze stanowiska formalistycznego można powiedzieć o powieści realistycznej, gatunku literackim, współcześnie niewątpliwie najbardziej ważkim, posiadającym bujną przeszłość, jako ważny czynnik walki ideologicznych, odgrywający niepoślednią rolę w kształtowaniu się stosunków społecznych XIX w. O ile formalizm, przybierający oczywiście niezawieszne formy tak karykaturalne (Krzyżanowski, Powieść w. XVI w. zbiorowych „Dziejach literatury pięknej w Polsce”) jest wielkim zubożeniem zagadnienia ewolucji gatunku, oddając je sztucznie od problematyki życia społecznego, o tyle koncepcja idealizmu, sugerująca istnienie fałszywych związków między zjawiskiem literackim a szerszym kontekstem życiowym — w tym wypadku „psychiką narodu”.

Jako przykład wystarczy podać tradycyjne stanowisko polskich historyków powieści, stwierdzających zresztą niejednokrotnie, że powieść jest jak najściślej związana z życiem zbiorowym społeczeństwa.

Ten „ściśły związek” ma oczywiście oznaczać ściśły związek między tworem artystycznym, a zbiorową „psychiką społeczną”; powieść jest wyrazem „duchy narodu”. I tak do tradycyjnych rekwizytów historii powieści polskiej należy zdumienie, że szlachta, mimo swych skłonności epickich, zmysłu obserwacyjnego i podciagu do gawędziarstwa, nie wytworzyła gatunku powieści. Tymczasem się to znów mistyka psychologiczna — brakiem fantazji i właściwym szlachcie zmysłem realizmu. Dlaczego jednak skłonność do realizmu miała uniemożliwić szlachcie wytworzenie powieści realistycznej trudno pojąć w ramach takiej koncepcji kultury. Jeśli literatura jest wyrazem ducha, to brak tradycji literackiej rozstrzygająca przeszkodą być nie może.

Równie naiwne jest psychologiczne tłumaczenie przyczyn, przewagi powieści historycznej w I połowie XIX w. — motywuje się to zjawisko niechęcią do fikcji, kultem dla literatury pamiętnikarskiej — a ton i charakter literatury romantycznej przeobrażeniem ducha narodowego przez klęskę rozbiorów.

Szlachta XVII w. powieści realistycznej stworzyć nie mogła, niezależnie od tego czy miała, czy też nie miała odpowiednich dyspozycji psychicznych. Powieść ta jest bowiem wytworem określonej klasy, określonego układu sił społecznych, jaki w Polsce długo jeszcze nie miał się zrealizować.

MÓWIAC O POWIEŚCI ZACZNIJMY OD... MIESZCZAŃSTWA

Powieść, powiedział Hegel, to epos mieszczański.

Powstanie powieści realistycznej jest ściśle związane z historią emancypacji zachodnio-europejskiego mieszczaństwa. Powieść epoki klasycyzmu należała do rodzajów niższych — dwa jej typy to: romans komiczny i romans łotrowski. Powieść wieku XVIII, jak stwierdził Mirski w art. w „Literackiej Encyklopedii Sowieckiej” — powieść epoki wzrastającego samowładztwa mieszczaństwa jako klasy, przełamała konwenans rodzajowego obrazka, w którym źle urodzony mógł grać rolę tylko gapią lub zręcznego łotryzka — uczyniła go pełnoprawnym charakterem, zdolnym do wszystkich ludzkich uczuć i namiętności.

Ta artystyczna nobilitacja mieszczańska, — zresztą zamożnego bourgeois lub członka upper middle class — zamiłowanie do drobniarstwa — malowania wszystkich realiów jego życia, były wprawdzie warunkami koniecznymi, lecz bynajmniej nie dostatecznymi dla dalszego rozwoju powieści realistycznej. Richardson stał się ojcem całej masy powieści sentymentalnych, gdzie w powodzi łzawych wylewów uczuć zaginęły wszelkie zarysy rzeczywistości, a wytworzył się nowy konwencjonalizm widzenia życia. Charakterystyczna jest reakcja przeciwko sentymentalizmowi i potępienie go w imię prawdy życia u przedstawicieli dwóch pokoleń polskich, które odważyły się myśleć. — Jan Śniadecki pisze w „Liście do Synowicy” (1818) o szkodliwym wpływie romansów fałszywych rzeczywistości „zmyślonych wypadkami świata”, a Kraszewski, broniąc powieści realistycznej w roku 1843, stwierdził: „Wówczas, kiedy romans malował jakiś świat konwencjonalny, jedno tylko i to fałszywe kreśląc uczucie, obłąkając obrazami wystawiającymi ludzi i uczucia w niebywałych kształtach — wówczas romans był szkodliwy w istocie”.

Istniał jednak drugi nurt powieści realistycznej, który utrzymywał zawsze najżywszy

związek jej z realną współczesnością. Istnienie jego umożliwiała powieści realistycznej to, co jest dla niej najbardziej charakterystyczne i stanowi o jej społeczno-poznawczej wartości w wyższym stopniu, niż fotograficzna wierność szczegółów — to jest — stworzenie obrazu historycznej rzeczywistości, odkrycie jej sensu i praw nią rządzących.

Ten drugi nurt powieści realistycznej, to drugie oblicze mieszczańskich dążeń emancypacyjnych — to nurt krytyki społecznej, niszczącej przeżytki feudalizmu.

Na terenie powieści angielskiej jedną z najwcześniejszych pozycji tego typu będą XVIII-wieczne „Coverley papers” Addisona i Steela drukowane w Spectatorze.

Na terenie francuskim oddziaływać musiał wpływ powiastki filozoficznej — „Kuzynek Rameau”, „Kandyd”. Powieść realistyczna związana została z postępowymi ruchami społecznymi, uczyniona przez nie wielkim narzędziem walki, które z czasem miało zwrócić się przeciw społeczeństwu mieszczańskiemu, którego było tworem.

Powieść wykorzystywana przez ideologię polityczną w zapale walki nie mogła się niejednokrotnie ustrzec przed agitacyjną wulgarnością, prymitywnym upraszczaniem obrazu życia. Te, częste zresztą mankamenty artystyczne stały się argumentem estetyzujących tendencji, które żądały od sztuki, respective od powieści, absolutnej bezinteresowności, tworzenia artystycznie wiernych, lecz wstrzymujących się od oceny obrazów życia. Powieść miała być „zwierciadłem przechadzającym się go gościnie życia” (Stendhal). Wielki pisarz, nawet w ramach takiej poetyki, potrafi dostrzec mechanizm życia, historyczno-politycznego i wierny prawdzie, dać jego realistyczny obraz. Wyraźne jednak są konsekwencje teorii „zwierciadła” na terenie powieści naturalistycznej — a więc empiryzm drobniarowski i nieumiejętność stworzyć żadnej syntezy, bezcelowy opis dla opisu, wreszcie zatura świadomości historycznego sensu opisywanej rzeczywistości, co pozwoliło na ugruntuowanie teorii „homo phisilogicus”, tak, że nietylko „homo metaphisicus” lecz i „homo socialis” został tutaj ostatecznie wyrugowany.

Powieść realistyczna, jako produkt określonego stopnia rozwoju klasy mieszczańskiej, powinna była prosperować tylko w odpowiednim środowisku społecznym. Wprawdzie ze względu na swoje sposoby przenoszenia się idei i gatunków literackich mogła pojawić się w środowisku społecznym diametralnie różnym od tego, które ją wytworzyło lecz nie znajdując właściwych sobie warunków nie powinna się teoretycznie dalej intensywnie rozwijać. Tak było z polską powieścią w wieku Oświecenia — „Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego” i parę naśladownictw tej powieści nie były zjawiskami, które wywarły trwały wpływ na dzieje powieści polskiej.

Podobnie i na terenie niemieckim słabość powieści realistycznej i jej artystyczne zacośnienie w stosunku do osiągnięć innych literatur zachodnio europejskich na tym polu, fakt, że jeszcze u Raabea i Storma tematyka wielkiego przemysłu i urbanistyki uchodziła za „niepoetyczną”, nieumiejętność stworzenia syntezy życia w ramach wielkiego realizmu, jest z pewnością związana z gospodarczym zacośnieniem Niemiec około połowy XIX w., a potem z gwałtownym ich rozwojem, jednak nie w ramach liberalizmu gospodarczego a bismarckowskiego protekcyjnizmu, owianego mgiełką mistycznych teorii gospodarki narodowej, wspólnego dobra narodu itp.

Powieść realistyczna nie była jednak stanowym gatunkiem literackim, szybko też wyrosła z roli pieczętni mieszczaństwa, została zaadaptowana przez inteligencję postępową wszelkich formacji historycznych. Ze względu na swe walory intelektualne, na znaczenie poznawcze stała się ulubioną bronią postępowej inteligencji. Typowym przykładem może tu być sprawa realizmu rosyjskiego i polskiego.

Realizm rosyjski miał swoje cechy nie tylko dzięki temu, że kapitalizm rosyjski miał, odmiennie od zachodnio europejskiego, charakter kapitalizmu kolonialnego, ale i dzięki temu, że nie był ideologią mieszczaństwa, lecz grupy szlachecko-burżuazyjnej inteligencji walczącej z pańszczyzną i innymi przeżytkami feudalizmu.

SZANSE NA REALISTYCZNĄ POWIEŚĆ

Rozwój realizmu polskiego w dobie pozytywizmu, związany jest bardzo ściśle z przemianami społecznymi, jakie po roku 64 doprowadziły do wytworzenia się nowej warstwy — inteligencji.

Jak wyglądały tradycje polskiej powieści realistycznej przed tym rokiem? — W pierwszej połowie wieku XIX w świadomości polskiej krytyki i publiczności literackiej romans to gatunek, „którego cel w przedmiocie to jest w opisanu miłości”. Romans miał być przy tym rzetelnym obrazem „towarzystwa ludzi”, bo „więcej prawda dodaje powagi i mocy, niż zmyślenie wdzięku i przyjemności” — stwierdzał anonimowy autor rozprawki „O romansach” w „Cwiczeniach literackich”. Stąd jedyne kryterium oceny powieści w Polsce to zagadnienie, czy romans jest „uczciwy” — o co się zresztą martwił przede wszystkim jeszcze Książę Biskup Warmiński. Ten stosunek do powieści przetrwał zresztą na dnie świadomości polskiej publicz-

ności literackiej długo. — Jeszcze Prus gabrał w „Kurjerze Codziennym”, „Pewien autor napisał... powieść pod tytułem „Figą z makiem”, czy też „Dziura w moście”, usiłując scharakteryzować w niej życie społeczne, stosunki i typy kilku pokoleń... w Anglii pytano by się przede wszystkim, o ile owe stosunki i typy są prawdziwe i o ile są nowe? — Tu jednak najniecierpliwiej dowiadywano się: Dlaczego powieść nosi tytuł „Figą z makiem” czyż „Dziura w moście” i czy Dziura ożeni się z Makiem, a Figą z Mostem?”

Mimo, że około roku 1843—46 powieść doczekała się gloryfikacji ze strony samego Cieszkowskiego i to nawet powieść „igracząca” tematami naukowymi i społecznymi, na popularność i właściwy rozwój powieści, realistycznej — powieści społecznej nie było warunków. Propagowali wprawdzie jej konieczność młodzi demokraci: Dembowski, Dziekoński, Leszek Borkowski i Marcinowski, wojowali z Korzeniowskim o twórczość ludową o zerwanie z konwencjonalnym światem salonów, ale około roku 1854 okazało się, że powieść realistyczna właściwie się publiczności „znudziła”.

Kraszewski, oburzony falą naśladownictw jego powieści, wystąpił w Gazecie Warszawskiej z wnioskiem o odnowienie formy powieściowej. Korzeniowski odpowiedział złośliwie, że konieczna jest przede wszystkim oryginalność treści. Kraszewski replikując dowodził, że forma powieści została już zbanalizowana do tego stopnia, że wszystkie obecne „naśladownictwa” wyglądają jak kompozycje sławnych malarzy litografowane na chustkach od nosa.

Do stanowiska Kraszewskiego, znanego ze zmienności sądów, można by nie przywiązywać większej wagi, gdyby nie szerokie rozmiany, jakie przybrała ta dyskusja, w której przeważały istotnie zdania potępiające powieść realistyczną, argumentujące nie kwestionowanym przez przeciwników vox populi — „nie dziwny się, że publiczność czytająca, która by rada w swej literaturze dojrzeć dźwignię, co by ją wyrwała z płaskiego i powszechnego otoczenia, przesycała się już owymi współczesnymi powieściami, owymi powieściami obyczajowymi, owymi obrazami i obrazkami” — pisał Lewestam, radząc jako receptę na nudę romans filozoficzny, „który by od nędzy ludzkiego żywota wzrok nasz odwrócił”.

Z chwilą gdy wytworzyła się nowa warstwa radykalnej inteligencji, która z zapalem przystąpiła do propagandy nadrobienia zacośnienia gospodarczego, wytworzyły się warunki dla rozwoju wielkiej powieści realistycznej. Pozytywizm nierozłącznie sprzągał realizm i tendencję społeczną. Nie umiając jeszcze w pełni posługiwać się techniką realizmu ułóżmy realizm z realizmem tendencji, jak stwierdził Chmielewski (Orzeszkowa). Powieść została uznana za jeden z głównych środków oświaty i propagandy. Z drugiej strony podkreślono też silnie wartości poznawcze literatury — Orzeszkowa uważa powieść za mieszaną wytwór umysłowości ludzkiej, który z jednej strony należy do sztuki i dlatego podlega ma wszystkim rygorom formy artystycznej, z drugiej — cytuję — „szerokim szlakiem wpływa w dział wiedzy — ten szczególnie, który streszcza w sobie wyniki nauk wszelkich, a zwie się filozofią”. Oczywiście jest to socjologizująca filozofia w stylu Comte’a.

Wielka powieść realistyczna pozostaje w związku nie tylko z koncepcjami pozytywizmu, wytwarza się i na jego bocznych nicościach — u Prusa i Sienkiewicza. Powstaje zamówienie społeczne na powieść realistyczną — kontakt odbiorcy z twórcą. Powieść realistyczna już się publiczności nie nudzi. Zakośnienie się pozytywizmu, a z nim reglizmu pozytywistycznego następuje jednak szybko. Jan Kott wykazał w studium o Lalece przyuczynego tego zjawiska — słabość garstki nowatorów w ubogim kraju, kolonizowanym przez obcy kapitał, gdzie zarysowała się kwestia robotnicza i chłopiska, której rozwiązanie w ramach solidarystycznej, ewolucyjnej ideologii społecznej pozytywizmu było niemożliwe. Nieufność wobec dotychczasowych dogmatów — pracy, wiedzy, rozczerwanie, powolna utrata kontaktu ze współczesnością i — powieść zatracca wyrazistość tendencji, gubi się w alegoryzmie, estetyzmie, psychologizmie. Eliza Orzeszkowa pisze „Ad astra”.

NUMER ŚWIĄTECZNY „WSI”

(49—50, 128—129)

O PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

ZAWIERAC BĘDZIE M. INN.:

J. A. Król — Samorodni; W. Jazdzyński — O nowej szkole; A. Kamińska — Samorodni; S. A. Pieniążek — Krajobraz rolny w systemie gospodarczym; B. Baranowski — Karaczna; T. Chrościelewski — Matka w literaturze; Z. Mysłakowski — Rodzina wiejska; L. Budrecki — Boy — walka o laicką moralność; W. Rudziński — Muzyka ludowa i wieś; J. Krzyżanowski — Bajka polska; Te-lakowska — Wiejskie rzemiosło artystyczne; — proza beletrystyczna, wiersze, ankiety konkursowe, recenzje z książek; Nedzy — Kubiśca, Skonecznego, Ożoga. Numer bogato ilustrowany.

Lech Budrecki

Poezja Stanisława Piętaka



Stanisław Pięta

Linia rozwoju St. Piętaka stanowi poniekąd symptom przemian zaszłych w poezji polskiej ostatnich 20 lat. Literackie metamorfozy pokolenia uwytłaczają się na jego przykładzie ze szczególną wyrazistością. Początek i finał przygody duchowej: przerzut od eksperymentu do banału, oto wytyczne tej ewolucji. Zaczynajmy od miejsca, z którego wyruszył tak Pięta, jak i tylu innych poetów. Lata 30-te to rozkwit awangardy, odgrywanej wtedy badając główną rolę w ówczesnej poezji polskiej. Przyboś i Peiper szybko znaleźli uczniów. Debiutowali po kolei: Brzokowski, Czechowicz, Flukowski, Świrszczyńska, Zagórska, Miłosz, no i oczywiście Pięta. Sprawa nowej liryki znalazła licznych zwolenników wśród młodych adeptów poezji. Awangarda niosła za sobą typ poetycki, oparty już o wyśiłki pisarzy Zachodu. Przyboś buntował się przeciw symbolizmowi, chciał ładu w wyobraźni poetyckiej. Hasła jego zawiodły. Regularność została szybko zarzucona. Trzeba było wrócić do Mallarmégo. Rozbito wprowadzić zwrotkę, sięgając po najnowsze osiągnięcia moderny, po wolny wiersz, który skonstruowali Verhaeren i Kahn. Odrzucono po-
zostaw komentarza, poezję głoszącą wiedzę o świecie. Zastąpiono ją obrazem. Posłuchajmy, oto wystąpienie Przybośa:

Ta same gwiazdy
wyszeptali wyczer jak zwierzenia.
Latarnie wyszły z ciemnych bram na ulice
i powietrze cicho stanęło.
Zmrok łagodnie przemienia przestrzenie

Poeta zamienił się w lirycznego reportera. Trzyma aparat fotograficzny w dłoniach. Na klisach zostaje wzruszenie i krajobraz. Kiedyś badam zwrotkę Piętaka:

Dłonie nucią, chcą być szumem.
Cienie ośmieszają uśpioną wodę, tam wiatr
obłoki kobiet wznosi w błękitną tunę.
Jestem roślinnych ust najcichszy kwiat,
włosom do pocałunku podaję gwiazd strumień.

odczytuje od razu porządek ułożonych w nich realiów. Przypisywanie przedmiotom cech charakterystycznych innym, zastępowanie czynności właściwych przez podobne, ukryte porównania i co najważniejsze ustalanie związków pomiędzy rzeczami, nie mającymi bezpośredniej łączności ze sobą. **Wszystko oddziaływa, wszystko wpływa.** Świat zagęszcza się, powstaje nieoczekiwana dynamika krajobrazu: zupełnie jak w malarstwie Cezanne'a plamy barwne determinują kolor innych pól, tak tu realia ograniczają się wzajemnie przypadkowo i chaotycznie. Rodzi się jeszcze inny sposób formułowania zdań: „Płaski szum... A!” — Każdy, kto czytał Werfla, czy Trackla zapamięta rwanie frazy. Zburzona dawna konstrukcja poetycka. Młodzi poeci zaczęli łamać wypowiedzi. Nie kończyli ich. Chodziło o wrażenie wywołane odrzuceniem konwencji i komunikatywności, jakie w tej dziedzinie dotąd panowały. Nazywano to ekspresjonizmem. Jeszcze jedna maska naszej współczesnej literatury pojawia się na scenie. Awangarda grała zresztą tę samą rolę. Historyk badając kiedyś początki XX stulecia sięgnie do rekwizytorni, w której poeci zakładali maski na twarz. Oceń walor sztuki **charakterystycznej**, osądzi ją. Literaturę bowiem nie brano już na serio. A podwójnie śmieszni stawali się ci, którzy usiłowali wówczas wieszczyć. Mówię o awangardzie tak, jakby kierunek ten był czymś autonomicznym na mapie kulturalnej Europy. A przecież to jedna z tych szkół, których dziesiątki rodziło się i umierało w 20-lecie. Nic dziwnego także, że jego związki z nadrealizmem wcale nie były przygodne. Trzeba się cofnąć. Manifesty futurystyczne, dadaistyczne, nadrealistyczne otwierają okres daleko posuniętego eksperymentatorstwa, okres ustawicznych prób. Apollinaire i Jacob stali u początków. Bunt przeciw tradycji symbolistycznej wiódł do żartu i do opisu snów. Zapanowała drwina. Już nie z świata, a z artystycznej tradycji. Niektórzy brali to zaba-
wę na serio. Byli tylko bardziej pocieszni przez to. Najbardziej zaś świadomi stanu rzeczy, rzucali się z przygody w przygodę.

Poeci zanurzyli świat w metaforach i dowolnych asocjacjach przedmiotów. Realia owijano starannie w zdania pełne dalekich porównań. Ten, kto pisze: „W warunkach śniących drzew muzyka skrzydeł” szuka już tylko

poetyckości. (W tym znaczeniu, jakie słowu temu przydała ówczesna konwencja).

Wszystkie drogi prowadziły ku fantastyce. Poezja zrezygnowała z tej ostrości widzenia, jaką demonstrował jeszcze Baudelaire w swojej kronice industrializacji, w „Kwiatach zła”. Wizje Rimbauda przerzucały pomost na wyspy szczęśliwe, dążały ku pierwotności. Mieszkaństwo pragnęło nowych dialogów Lukiana, potrzebowało odwrótu od tych wszystkich wydarzeń, które zewsząd poezji zagrażały. Zalamywanie się tej klasy przyniosło nam ze sobą przygodę duchową i eksperymentatorstwo w poezji.

PROBA PRZEŁOMU

Kiedy Miłosz pisał: „Najpiękniejsze ciała są jak szkło przezroczyste. Najsilniejsze płomienie jak woda zmywająca zmęczone nogi: podróżnych. Najzłotejsze drzewa jak otwór rozkwitły w środku nocy”, oznaczało to wyrzucenie się tych rygorów, jakie wyobraźni nakładał Peiper. Awangarda przegrała. Młodzi poeci odchodzili od niej, szukając takich poetyckich doświadczeń, któreby mogły ich do-
tychczasowe poszukiwania usprawiedliwić. Baudelaire mówił, że niebo jest tragiczne. Decaune pisał o „jasnej sylwestce przyjemności”. Pięta wspomina „szklane sny”. Zerwanie autora „Domu Rodzinnego” z awangardą przypada na rok 1936. Początkowo to tylko nawrót do zwrotki. A potem... Potem przychodzi poematy.

Poeci XIX wieku przestali ufać epice. Druga połowa tego stulecia niedarmo jest jej grobem. Bohaterowie zanikają, rozpada się akcja. Zostają opisy, adnotacje liryczne lub rzadziej narracje o wydarzeniach historycznych. Skończono z mową wiązaną, zaczęto opowiadać prozą. Mieszczanie zaczytywający się w „Dekameronie” nie wiedzieli, że zadają właśnie ostateczny cios wszelkim kontynuacjom Ariosta. Poemat epicki czytelnik wymienił na powieść. „Iliada” XIX wieku to Balcac. Nowy Homer wyrzekł się heksametru. Byron i Heine zrezygnowali tymczasem z fabuły na rzecz dziennikarstwa i lirycznych wtęto. Secesja porzuciła już ostatecznie poematy. Potem powstały jeszcze próby poetyckich opowieści o wydarzeniach, ale bohater już nie było. Wogóle nie lubiono anegdoty w naszych czasach. Pięta wycofując się z awangardy i nawiązując do epiki, musiał sięgnąć do źródeł inspiracji poezji polskiej minionego stulecia. Z tych usiłowań powstały „Zbieg”, „Zdrada”, „Partyzant i dziewczyna”. Krytyk, badający uważnie to, co pogardliwie nazywano dykteryjką w utworze, wykryje z łatwością jej niewiarygodny wręcz sentymentalizm. Miłosz, zazdrość o to oś wszystkich utworów, (z wyjątkiem „Pomoru” rzecz zrozumiałą). Rządca, chłopka, jej mąż (czy kochanek) stanowią ogniwa akcji. Wystarczy niekiedy wywiesić przed teatrem spis osób występujących w świecie wystawianej sztuce, by przechodzić mógł opowiedzieć jej treść. Ta sama sytuacja jest i u Piętaka. Z góry wiadomo, że to wariant „Budnika” (mówię o największym z poematów, o „Zbiegu”). Ramoty o biednym chłopie raz jeszcze posłużyły za przedmiot poematu. Owa litość nad tymi,

którzy cierpią, (no, bo Pan Bóg tak świat urządził) powracająca raz jeszcze do czytelnika, pozwala nam, umiejscowić poemat Piętaka gdzieś w pobliżu „Dziewcząt z Nowolipki”. Płacemy nad biednym chłopem i nad biedną drobniomieszczanką. Dlaczego? Pokrzywdzono ich erotycznie. Oto cała wina ustroju, oto jedyny zarzut, jaki można mu postawić. Tak więc z eksperymentatorstwa lirycznego powrócił Pięta do banału, do sta-
rej, filantropijnej piosenki o biednym chłopie.

CUŁOŚĆ I SEN

„Dokąd prowadzisz mnie, do jakiego z światów”

Pięta.

Odczytując powojenne wiersze Piętaka natrafia się od razu na nowy układ zdań, inny styl pisarski. Poeta woła:

O czasie smutny, z okrucieństwa piętrem.
Brat brata wydawał. Widziałem mord,

[zbrodnie]
wśród bliskich. Aby nie zginąć, udawałem

[śmiech].
grałem głupca, czoło chronikiem w przygodną

[twarz]
dziewczyny, która cieniem krzyczała gdym

[śnił].

Słowa są proste. Wrócił się do codziennych określeń mowy potocznej. Mówimy „mord”, „zbrodnia”, „okrucieństwo”. Nazwano to od-
chodzeniem poezji, zerwaniem z wieloletnią szkołą artystystów. Wskazywano na odalenie nowej tradycji, umiejscowiano przełom literacki zaraz w pierwszych dniach pokoju. Jedno nazwisko służyło do drogowskazu. Padało w każdej dyskusji o poezji. Rzucono je z emfazą: Ludwik Aragon. Wiersze jego wprowadzano wprost od Ronsarda zapominając o innych protoplastach: o Moréasie i Maurrasie. Twórcą wiejskich pejzażów stał się wobec wojny bezradny. Tak trzeba rozpocząć opowieść o utraconych złudzeniach wielu teoretyków, plasujących Piętaka na czele nowego nurtu, który ochrzczono na poczekaniu mianem realistycznego. Jaką poetę ów znalazł odpowiedź na wydarzenia, które poczynały go otaczać? Cułość i przerażenie. Nie umiał jeszcze reagować na nie inaczej. Potworne zjawisko nawiedziło ziemię. Odbiła się Apokalipsa. Zostaliśmy po końcu świata. Pisarze szukają nowego języka, którym moglibyśmy przemówić po wydarzeniach, które zdyskredytowały wiele pojęć, które obaliły wiele konwencji, jakim bez wahania żonglowano do wojny. „Oczko bratka całowałem u cieniów bramy”. Tym razem ocalenie poezji tkwi w cułości. Co chwila wracają zdrobnienia. Poeta jest zachwycony światem. Oto przeżyliśmy Apokalipsę, a wokół nas piękna wieś.

„Biedny Lolo żonę ma,
taką śliczną, taką rzewną!
żyje z nią już osiem lat,
więc kochają się na pewno;

gdy nadciągnie wieczór złoty,
patrzają w okno jak dwa koty.

A za oknem ruczą kręty,
cztery brzozy i klon piąty,
cichy zima srebrny Anin...!
myśli Lolo: czy ja wiem...
zima... brzozy... coś jest w tem.

I powoli syty snem
budzi się w Lolu Polanin:
Te gazety, te problemy
sami sobie fingujemy,
Zaś tu wietrzyk brzożom, polom...

Hodowałbym troszkę pszczoł...
Dużo bym się lepiej czuł...
Biedny Lolo!

Pamiętacie chyba wszyscy tę cułośćkowatość, to Gałczyński — sentymentalny drobniomieszczanin: spokój, cisza, rodzina. Po prostu liryka rodzinna. Wiersz Piętaka wyłania się z tej samej aury. Otacza ją sielankowość. Ten typ obrazu poszerzył teraz u autora „Lilii ognia” swój zasięg. Z dawnych liryk, gdzie to widzieliśmy krowy, zboża, ludzi i drzewa wplecione w ornamentykę metafor, wtargnął i do nowych wierszy. Przypominam sobie dawnych znajomych, którzy co lato wyjeżdżali na wieś, na letnisko. „My kochamy wieś” mówili, żegnając się ze mną. Gdy uprzytamniał sobie ich antyurbanistyczne ewokacje, ich zachwyt nad „przyrodą”, myślę o poetyckim odpowiedniku tego entuzjazmu i znajduję go w tomie Piętaka. Do czasu tylko, do czasu. Zaraz bowiem tracę związki z przyjaciółmi i z wspomnieniami, gdyż przekraczamy granice rzeczywistości.

Odwrociłem się, a wtedy astrologiczne
niemał przyszło ujrzeć mi zjawisko. W ulicę,
która była mi znana, wśród tęczy prześlicznej
ktoś jechał nucąc na czerwonej, lśniącej

[bryczce]
i puszczał jaskółki w rzęsy smutne jeziora.

[Stał]
tylko dom biały i kwiat wielki, żywy,
że przestrzeń zdawała się być od piękna chora.
Ftak przechodził powietrzem raz, czarny, raz

[siwy].

Weszliśmy w sen. Wydarzenia rzeczywiste
wiążą się z widzeniami. Majaczenia łączą się
z faktami, oplatają je i kontynuują.

„Pikus na piersi ma już żelazne ordery,
lecz nagle płaczą mi znówu się białe dzieje
i stają. Przy mnie idą ścieżką dziewczęta.
Jedna z nich niesie pawia i ku chmurkom się

[śmieje].

Miałem ach ująć mglisty czar niebu
spadłem jednak z powrotem w jasność dnia,
[w akcję],
i usłyszałem ojca ucieszną facecję...”

Mit poetycki zaczął się. Wielbiciele „Łaki”
Leśmiana, do was kieruję te słowa, sięgnijcie po „Dom rodzinny” Piętaka. Konwersja
tego poety była fałszywa. On nadal wierny
został mitologiom.

Chcę ustawić literacką działalność Piętaka na tle społecznym nie można czynić tego na ślepo. Wiele wulgaryzatorów metody socjologicznej ustalało już w tej dziedzinie bardzo niebezpieczne tropy. Jest strach, a więc poetę mieszczańską ogarnia rzecz oczywista przerażenie. Z tejże racji dysponujemy wierszami o śmierci. Podobne traktowanie genetyki w ramach kartezjańskiej psychologii, okazało się dziś aż nazbyt hipotetycznym, aż nazbyt niebezpiecznym. Należy dziś wyrzucić się tych ryzykownych ścieżek. Ustawiając „Dom rodzinny” w aspekcie społecznym należałoby sięgnąć do środowiska, w którym obraca się autor, do odbiorców jego dzieł. Zaczynam rozprawę o drugiej Bohemie, tak bowiem nazywano cyganerie 20-lecia. W Polsce nie tworzyła ona takiego ghetta, jakim była w Paryżu dzielnica Montparnasse, dzielnica bez wyjścia. Kawiarnie przechowują do dziś historię pisarzy, inteligentów wydających własnym sumptem tomiki u Hoësioka. Pięta to jednak ktoś inny mówicie. Tak, macie rację. Jego życiorys jednak to już kompetencja socjologa a nie krytyka. Dla mnie Pięta zaczyna się od inteligenta, od członka cyganerii, Czecho-
wicz, Rzezyca, Michalski oto ci sami ludzie. Żyli z różnych środków, tworzyli mit artystycznego specostwa. Mieli tylko jedno zainteresowanie: literaturę. Usiłowali stworzyć profesjonalizm w najbardziej niestałym z zawodów. „Pisarz chłopski, pisarz ludowy” słyszałem o Piętaku. Pamiętam te ewokacje jeszcze teraz. Zrodziły je wypowiedzi Ignacego Fika. Pisarz uwarunkowany jest swym klasowym pochodzeniem. Oto formułka, w imię której ktoś, kto urodził się jako syn formala np. zawsze będzie chłopem. Pisarz mieszczański musiał być zawsze synem kupca. Budując, nieprawdą. Otóż Pięta jest także niestety poetą „mieszczańskim”. To znaczy dla mieszczań. Nie trudno ustalić dzisiaj środowisko, w którym cytowano „Pion” lub „Droge”. Lekarze, kupcy, nauczyciele przemysłowcy, no i poeci. A poza tym nikt, Leopold bywający u Arnolda, Arnold odwiedzający Pawła, Ryszard wspólny przyjaciel ich wszystkich. Na tym zamyka się krąg odbiorców. Zasięg literatury 20-lecia nie przekraczał zazwyczaj tych ram. Nie mógł przekraczać. Iwaszkiewicz nie pisał dla analfabetów. Czechowicz nie obliczał swych wierszy na robotników z niepełnym powszechnym wykształceniem. Kregi kultury nie wchodziły się identyczne. Ci zaś, którzy zajmowali w nich stanowisko nadzędne, przeznaczał swą twórczość dla tych tylko, którzy ją mogli pojąć. A komunikatywność w różnych środowiskach była zupełnie różna.

Giełda literacka

„Książka obcyć się może bez podpisanego autora, jak niejedną podpisaną autor obywatel się bez prawdy”.

Koliataj.

A. — O czym rozmyślał?

B. — Jeśli to cię interesuje, o przeprowadzeniu rozwodu. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to kłopotliwe.

A. — Oczywiście, w twojej sytuacji musi to być diablo trudne, musiałbyś się bowiem pierwszej ożenić. Chyba, że to dzisiaj zrobisz.

B. — Myślisz się. Nie o rozwód z „nieznana kobietą” mi chodzi. To rzecz dosyć konkretna. Zależy mi na przeprowadzeniu rozwodu literatury z „cmokierami”.

A. — Mam wrażenie, że i to jest jakiś wymyślony problem. Znowu będziesz czegoś wymagał od literatury. Wszczynasz jakiś principjalny spór o literaturę i jej jakość. Wolę już realne postulaty KJW ze Szkoły krytyków Odrodzenia. Żada on po prostu przeciwnie produkcji powieściowej, rzemieślniczo poprawnej, powieści z fabułą, iektury dla pozeraczy beletrystyki, by przeciwstawić się zalewowi tłumaczeń.

B. — Właśnie, ta recepta człowieka, zającego się na literaturze jest moim punktem wyjścia. W naszym życiu kulturalnym istnieje jakaś fałszywa hierarchia wartości, odwrócony porządek i kolejność w ocenie zjawisk. Czy byłbyś w Teatrze Popularnym na Firyku w zalotach?

A. — Ze wstydem muszę ci się przyznać, że nie. Chciałem zobaczyć jak to wygląda, wionio, jak grają, ale na popremierowe przedstawienie nie warto prawie chodzić...

B. — Otóż w tym właśnie sprawa. Ty i tobie podobni chcieliby zobaczyć, jak wystawiono Firykę. Nie obchodzi was prawie wcale po co go wystawiono. I teatr temu ulega. Orientuje się na tobie podobną publiczność premierową, lekceważąc czasem całkiem wyraźnie pospolitego widza. Jednym z przykładów może być spektakl tegoż Firyki na popołudniowe dla szkół 3 b.m. Wyraźnie zlekceważono sobie najwidoczniejszą publiczność teatralną — młodzież, grając byle zbyć, usuwając balet. Podobnie w literaturze. Co ambitniejsi beletryści orientują się w trosce o nieśmiertelność swoich nazwisk na sądy szczupłej garstki

„cmokierów” literackich, smakujących każde „jak”. W ten sposób puszczają wodę na młyn głupich, płytkich i niedokształconych, znających tylko „ostatnie nowości” snobów literackich, którym wydaje się, że wyrokując w teatrze przede wszystkim o teatralnych zabiegach, w literaturze o „michalskich stylizacjach” — wiedzą, co to jest literatura czy teatr, którym nawet wydaje się, że tworzą kulturę literacką w Polsce. Pisarz dla „cmokiera” to także przede wszystkim osobnik bywający w tej samej „artystycznej” kawiarni — śmiesznej giełdzie literackiej, gdzie gesty literackie zastępują osiągnięcia, gdzie rej wodzą głupie gęsi mieszczańskie, powtarzające głupstwa i komunizm. Nazwisko autora jest tu ważniejsze niż jego głupota czy mądrość, lub sprawa przezeń poruszana. Zważnia to pisarzy z odpowiedzialności za słowo i wysiłku twórczego. Biografistyka pisarzy, beletrystów bywa śmieszna, ale o wielu dzisiejszych pisarzach tyle się powie, co o ich „nowościach”. Ich życie i twórczość jest „na niby” i „na niby” traktuje je rzetelny, przeciwny czytelnik. Charakterystyczna np. pozycja była rzecz jednego z najzdolniejszych naszych pisarzy Stanisława Dygata (Jeziro Bodeńskie). To nie jest tylko sprawa autonomicznej fikcji literackiej. Zwróć uwagę, że „zaraza” by użył wielkiego słowa, wdziara się także do pism literackich. „Odrodzenie” staje się sielanką autorów. Andrzejewski — miast pisać dobre powieści — zastępuje z żenującą swobodą krytyka wznowień w Dzienniku i lektury. KJW pada często ofiarą obowiązków, maglując w braku własnego tematu — cudze, dobitniej sformułowane sądy (np. Jastruna), by tylko wypełnić rubrykę Szkoły krytyków. Niebezpieczna jest ta przewaga nazwisk czy strasnych dla „strasznym mieszczań” rubryk i nazwisk nad problemami. O ekletycznych Nowinach Literackich lepiej nie mówić. Mimo usiłowań redaktora, nuda wieje z tego pisma. Wolę już czytać katolickie pisma literackie. Więcej w nich twórczej ambicji, choć nie podzielam ich światopoglądu. Uff! zmęczylem się...

A. — Chodźmy więc gdzieś...

B. — Do Fraszkli.

Franciszek Salezy Kalibańczyk.

Witold Jedlicki

KATOLICKI POWRÓT DO NATURY

„Jesteśmy świadkami jak za dni naszych starzy się z niezwykłą siłą dwie postawy duchowe, dwie cywilizacje. Jedna z nich głosi typ życia osiadłego, jak najściślej związane z naturą, druga, której wykładnikiem jest industrializm i rozpowszechniająca się urbanizacja opowiada się za życiem sztucznym, w zasadzie koczowniczym”.

Tymi słowami rozpoczyna swój artykuł Józef Marian Świąciecki w nr. 46-47 „Tygodnika Warszawskiego”.

Skąd ten problem?

Przejsie od feudalizmu, w którym dominowało rolnictwo jako podstawowy sposób produkcji do kapitalizmu, którego podstawowym sposobem produkcji był przemysł, odbyło się w różnych krajach w różnym czasie i z różnym nasileniem, począwszy od XVI (Niderlandy), a skończywszy na XVIII w. Jeżeli w takich krajach jak Polska czy Kosja proces ten odbył się chronologicznie później, było to dowodem wyjątkowego opóźnienia rozwoju historycznego tych krajów. Proces ten był *conditio sine qua non* postępu społecznego i technicznego, nastąpić musiał na skutek ciągłego dążenia człowieka do wyższych form produkcji, zwiększających jej masowość. Ustrój polityczny, nie pozwalający na swobodny rozwój nowych form gospodarki został obalony. Fakt ten dobrze znany w historii mógłby być nauką dla tych, którzy chcą powstrzymać postęp społeczny. Tymczasem w wieku XX, Anno Domini 1947 po ostatecznym i całkowitym zwycięstwie koncepcji technokratycznej, (jeżeli mamy przyjąć terminologię autora) w systemie produkcji zjawia się pan Świąciecki i stawia sprawę w ten sposób: My dzisiaj mamy możliwość wolnego wyboru: powrócić do natury, czy zostać przy technokracji. Od czego zależy wybór? Oczywiście od sumienia chrześcijańskiego. P. Świącieckiemu technokrację wyraźnie się nie podoba: „Pod wpływem postępującej industrializacji i urbanizacji ulegają nadwątleniu wszystkie szczeble naturyzmu. Człowiek w sztucznych niezdrowych warunkach życia miejskiego degeneruje się biologicznie, traci bogatą bujność pierwotnej natury. Następuje rozkład życia osiadłego, rozluźnienie węzłów rodowych a nawet i rodzinnych. Pozbawiona więzów obyczajowej, narażona na różne pokusy wielkomiejskiego życia mniej odporna jednostka zatracca moralność przyrodzoną, a w zetknięciu się z płytkim racjonalizmem, charakterystycznym dla tego środowiska także i wyniesione z domu przekonania religijne”.

W bardzo negujący sposób przedstawia nam p. Świąciecki wizję powrotu do natury.

Jednostka, oprymowana w ustroju technokratycznym zyska wolność osobistą, nie będzie narażona na przyprawiające ją o zgubę pokusy życia wielkomiejskiego od utraty wiary począwszy, a na degeneracji biologicznej (pamiętne słowa Alfreda Rosenberga) skończywszy. Ale to nie wszystko. Będzie mogła wieść osiadły tryb życia, założyć rodzinę (tylko bez środków prewencyjnych — o tym także p. Świąciecki pamięta) i już narzeczcie skończy z tym niespokojnym koczowniczym trybem życia charakterystycznym dla wielkiego miasta przemysłowego. A więc — wsi spokojna, wsi wesoła powraca, a ideał szczęścia osobistego będzie osiągnięty.

Byłoby tak niewątpliwie, gdyby nie to, że p. Świąciecki dostrzega również niebezpieczeństwa naturyzmu: „Jeżeli się więc opowiada wyraźnie za naturyzmem, to oczywiście nie za tym co w nim jest cielesnego, biologicznego, ale za tym, co w nim jest z Bożego ustanowienia niezmiennym wiekuistym podłożem człowieczeństwa”. Co jest tym niezmiennym podłożem również wyjaśnia nam p. Świąciecki: „Poza dyskusją powinny być takie dla chrześcijańskiej duszy pewniki, jak ten, że są — z samego prawa natury, wszczepionego w serce człowieka przez Stwórcę — pewne węzły, których nigdy i nigdzie nikomu naruszyć nie wolno, które starsze są od społeczeństwa i państwa, obdarzone szczególną bożą sankcją, jak rodzina, dalej to, że w stosunkach ludzkich istnieje pewna hierarchia wartości, która nakazuje nam w miłości bliźniego czynić pewne stopniowanie, uwzględnić, że wobec bliskich, powiązanych z nami różnego rodzaju serdecznymi węzłami, mamy większe obowiązki, niż wobec dalszych i mniej spokrewnionych. (Pokrewieństwo bierzemy tutaj nie tylko w dosłownym, ale przenośnym znaczeniu, nie tylko jako pokrewieństwo krwi, ale i jako pokrewieństwo ducha, pokrewieństwo cywilizacji). Wreszcie nienaruszalnym musi być prawo przyrodzone, które przeciw chrześcijaństwu uważa za podstawę swej moralności”. I dalej parę słów o realizacji takiego stanu rzeczy: „Niezmienne więc ważne jest, aby znalazł się taki czynnik, który by sublimował wartości naturalne i chronił je od wypaczeń, który by pilnował tego, aby niższe pokłady naturalne były podporządkowane wyższym, aby naturyzm nie zwyrodniał w jakiś kult biologicznych instynktów, węzły zaś krwi w nieludzką koncepcję rasizmu jak się tego do syta oczy nasze niedawno napatrzyły. Doświadczenia dziejowe wykazały dowodnie, że tym czynnikiem może być tylko chrześcijaństwo”. Ale pan Świąciecki nie opowiada się całkowicie za powrotem do natury. Zadaje sobie pytanie, czy w obronie wartości

naturalnych należy zlikwidować cywilizację techniczną. P. Świąciecki rozumie, że „nie można stać na stanowisku prymitywnego, pierwotnego naturyzmu, który konsekwentnie idąc, musiałby zatrzymać ludzkość na najniższym szczeblu barbarzyństwa”. Ale co robić? pyta p. Świąciecki. Przecież technokrację, to zguba ludzkości, to utrata wiary w Boga, to oprymacja jednostki, to degeneracja biologiczna, to koczowniczy tryb życia, a tu trzeba się z tym pogodzić, bo inaczej będzie barbarzyństwo, co lojalnie, jakkolwiek wyraźnie wbrew swoim upodobaniom p. Świąciecki przyznaje. Ale nie przerażajmy się, bo jest wyjście. Gdzie? Oczywiście w duchu. „Nie trzeba też udawać, że sprawy twórczości duchowej winny górować nad produkcją materialną, która temu pierwszemu zagadnieniu winna być całkowicie podporządkowana, bo są to kwestie jasne dla każdego spirytualisty i tylko materialistyczne systemy, obojętne, marksistyczne (sic!), czy kapitalistyczne mogą je zakwestionować”. I dalej: „Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że rozwój maszynizmu zagraża w pierwszym rzędzie osobowości, która, jeśli duch ludzki tutaj nie zainterweniuje skutecznie, nazbyt łatwo w tym systemie jest traktowana na kształt rzeczy, jedynie jako jeden z elementów produkcji i ulega na skutek bezdusznej pracy niebezpiecznemu dla zdrowia psychiki procesowi automatyzacji”.

Z tego wniosek: „Pogodzenie postępu technicznego z naturalnym stylem życia w taki sposób, żeby techniczne udoskonalenia nie pociągały za sobą obniżenia naturalnych wartości jest jednym z najpilniejszych i najważniejszych zadań współczesnej doby”.

Zatrzymajmy się chwilę nad sposobem myślenia autora. Jest on niewątpliwie a-naukowy, na co składa się kilka przyczyn:

1) Ahistoryczność myślenia. Autor odrzuca konieczność dziejową postępu społecznego, przyjmując, że w dowolnym momencie historycznym w mocy ludzkiej (a właściwie w mocy ducha ludzkiego) jest powrót do niższych form gospodarki lub dążenie ku wyższemu. Mniejsza o to, że autor nie opowiada się konsekwentnie za naturyzmem, chodzi o to, że autor stawia problem tak, jakby konsekwentny powrót do natury był możliwy i zależał jedynie od wolnej woli człowieka.

2) Stawianie też nie popartych faktami dowodów. Mnie osobiście na przykład nic nie wiadomo o tym, kiedy i w jaki sposób chrześcijaństwo ocaliło ludzkość od rasizmu.

3) Używanie pojęć wieloznacznych, mogących mieć znaczenie tylko w wypadku ścisłego zdefiniowania, czego autor nie czyni

(np. duch, osobowość, szczególna Boża sankcja, więźba obyczajowa, zwyrodnienie natury, niższe i wyższe pokłady naturalne itp.).

4) Dogmatyczność. Przyjęcie pewników nie popartych doświadczeniem. Z tym jednak musimy się pogodzić. To przecież wynika konsekwentnie z metodologicznych założeń filozofii katolickiej.

Idea powrotu do natury pojawia się po raz pierwszy u Jean Jacques Rousseau i romantyków. W literaturze XIX i XX wieku ilekroć się zjawia np. u Charles Baudelaire'a („W postępie mogą wierzyć tylko głupcy”), czy Jean Arthur Rimbaud'a, czy wreszcie u tylekroć cytowanego przez autora z takim namaszczeniem Aldous Huxley'a daje się łatwo wytłumaczyć socjologicznie. Jest rzeczą znaną i powtarzalną w historii kultury, że krytyka wartości kulturowych wytworzonych przez własną klasę rozpoczyna się od idealizacji okresu poprzedzającego dominowanie tej klasy i tendencji powrotu do tego okresu. Przed mieszczańskim, świadomym upadku własnej klasy, tworzy się właśnie taka wyidealizowana wizja poprzedniego okresu. Powrót do niego byłby zapobieżeniem wszelkiemu złu, przeciw któremu buntują się ci pisarze.

W Polsce apoteoza wsi była charakterystyczna dla środowiska inteligentckiego pochodzenia szlacheckiego. Bankructwo ekonomiczne na skutek kapitalizacji miast i ustawy o uwłaszczeniu chłopów było przyczyną masowej emigracji tego elementu do miast. Proces ten oceniony przez samowiedzę społeczną tej klasy jako deklasaacja wytworzył nieosiągalny w praktyce ideał powrotu do dawnej świetności dworu wiejskiego.

Ale ciekawe — dlaczego tym poglądem szermuje katolicyzm? No, niewątpliwie, trudno jest zapomnieć dawne dobre czasy z dominanta kulturalną, ekonomiczną i polityczną Kościoła, te dobre czasy, kiedy każdego niewygodnego oponenta można było unieszkodliwić przez klątwę lub wyrok inkwizytorski, kiedy cała nauka i sztuka służyły „pro Deo et Ecclesia”, kiedy można było naprawdę poszczycić się tym, że jest jedna owczarnia i jeden pasterz. Trudno zapomnieć i warto powrócić. Czy naprawdę ma pan na to nadzieję, p. Świąciecki? Ja sądzę, że pański projekt „syntezy” naturyzmu i technokracji świadczy o tym, że pan zdaje sobie sprawę z tego, że coś trzeba odstąpić, z czego zrezygnować. Ale przy tym nie traci nadziei. Może te dobre czasy, kiedy szlachcice polski władali przy poparciu autorytetu moralnego kościoła „sielską i anielską” wsią, chociaż nieco zmodyfikowane, powrócą...

Walery Osmenda

JESZCZE O „WSI DOSKONAŁEJ”

— „Zwiedzając Lisków nie zbudowałem się nim tak jakbym powinien. Zwiedziłem gigantyczną pracę jednego człowieka — proboszcza, który zorganizował wioskę „na wyrost”, który górując intuicją, inteligencją nad jej masą stanął na czele jak wódz wiodący szeregi do boju zdyscyplinowane, słuchające go ślepo i za nim idące”.

Tak rozpoczął swój artykuł w numerze 39 „Wsi” p. t. „Wiosna doskonała” Józef Kapuściński — pisarz chłopski i stary, wytrawny działacz społeczno — chłopski.

Taki a nie inny wstęp Kapuścińskiego dowodzi jednej bardzo ważnej rzeczy: mianowicie, że Kapuściński nie jest zwolennikiem organizowania życia wsi przez Kościół i jego służbę, że nie zgadza się na koncepcję wsi kościelnej, którą w najlepszym, wzorcowym kosztownym wydaniu cechuje: „...przerost organizacji na zewnątrz a wewnątrz konserwatyzm (podkreślenie moje) i obojętność na sprawy własne”.

Kapuściński, w swojej wypowiedzi początkowej, odrzucił po prostu **zaczofanie, bierność, ciemnotę, skrepowanie**, które uwiadamiają się w odpowiedziach chłopów z Liskowa, przytoczonych przez Kapuścińskiego. Gdy Kapuściński pytał czy są dumni z tego, że ich wieś taka sławna usłyszał odpowiedź:

— „To mnie nie obchodzi, to ksiądz prałat robi”. Drugi natomiast zapytany dlaczego pobieł stajnię tylko od ulicy a od podwórza nie, odpowiedział:

— „...musiałem bo ksiądz prałat nakazał — a po tej „paradzie” będę mógł ją **może** (podkreślenie moje) przebudować”.

Kapuściński zrozumiał sens i ciężar tych odpowiedzi, na dnie których spoczywa świadomość własnej **chłopskiej nicości**, ograniczenia, skrepowania, bezziloty, apatii, nie ma bowiem żadnego czynnika, który potrafiłby uwolnić wolę gromady od dyktatorskich metod księdza prałata. To jest zrozumiałe. Nie jest tylko zrozumiałe **dlaczego** Kapuściński przeciwstawia endecko — sanacyjnej koncepcji wsi, która miała być wzorcem a tym samym narzędziem ideologicznego oddziaływania na klasę chłopów, które na określonym odcinku historycznym miało ujarzmić siły chłopie i unicestwić budzące się ducha demokracji ludowej, wieś galicyjska z 1900 roku, którą od Liskowa dzielił przecież jakże poważna suma przemian politycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturowych.

Kapuściński przeciwstawiając Liskowowi wieś galicyjską z 1900 roku nie odbiega zasadniczo od podporządkowania jej indywidualnemu „dyktatorskim” zdolnościom jednostek. Chodzi mu jedynie o to, że na miejscu księdza prałata powinien być dzie-

dzic, nauczyciel lub obydwa razem, co zresztą było możliwe tylko w początkach ruchu ludowego albo raczej w okresie budzenia i krzewienia ducha narodowego, który miał uchronić naród polski przed pożarciem go przez okupantów w przeszło stu pięćdziesiąt lat później niewoli.

Lisków, mimo, że był sławny i piękny, nie podobał mu się dlatego, bo chłopci nie czuli się tam swojo, bo wszędzie widać było tylko „wół” **księdza prałata**. Wieś z 1910 roku zaś, o której mówi, podobała mu się dlatego, że wybudowano w niej dwa piękne budynki szkolne murowane, że zorganizowano Straż Pożarną, kasę Reiffeisena, sklep, Kółko Rolnicze, gospodę chłopską. Za świadectwo postępu uważa szutrowaną drogę do miasteczka, we dworze nowe gatunki zboża, ziemniaków, nowe rasy bydła, kur, no i wykłady dziedzica w Kółku Rolniczym na różne tematy z przezroczami i patefonem, Kapuściński zamyka, jakgdyby dla podkreślenia, sumę tych osiągnięć wybudowaniem w środku wsi kościoła, co wygląda w jego zestawieniu na ukoronowanie wszystkich osiągnięć wsi.

Porównajmy teraz Lisków z tym, co podobało się Kapuścińskiemu w cytowanej wsi z roku 1900—1910, która była, jak dowiedzieliśmy się z numeru 43 „Wsi” (J. Kapuściński, „Uzupełnienie „Wsi doskonałej”) ro-

dzinna wieś Kapuścińskiego Lipniki, położona w byłym woj. lwowskim. Porównajmy zupełnie obiektywnie.

Kapuściński wymienił wszystko co zasłó w jego wsi rodzinnej od roku 1900 aż do drugiej wojny światowej i znał tę wieś tak jak każdy z nas zna swoje miejsce rodzinne. Nie mógł twierdzić i nie twierdził, że w Lipnikach już nie ma nic do zrobienia, że wszystko już zrobiono.

Lisków ujrzał Kapuściński świeży, wyrosły jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, z ładnymi domkami, ogródkami, kościołem, szkołą, sierocińcem, warsztatami rzemieślniczymi, spółdzielnią handlową itp. Lisków na pewno był ładniejszy od jego rodzinnych Lipnik.

Dlatego więc Kapuściński przekłada to czego dokonano w Lipnikach nad to co przed stawiał Lisków?...

Kapuściński oglądając Lisków uświadomił sobie, że wieś ta wybudowana jest przez reżim, który odpowiedzialny jest za doprowadzenie do kiepskiej klasy chłopów i stoczenie jej na dno nędzy.

Zrozumiał tę wielką prawdę, która leżała u podstaw intencji „prałata”, aby więc, dając jej nową oprawę i urządzenia, cofnąć do modelu wsi z roku 1900. Twórca Liskowa pragnął, aby chłop znalazł się pod ścisłą kon-

trołą i zarządem, którego zadaniem jest nie dopuścić nigdy do wyzolenia się z mas chłopskich energii twórczej.

Dlatego Kapuściński oglądając Lisków powiedział o nim, że cechuje go... „wewnątrz konserwatyzm i obojętność na sprawy własne”.

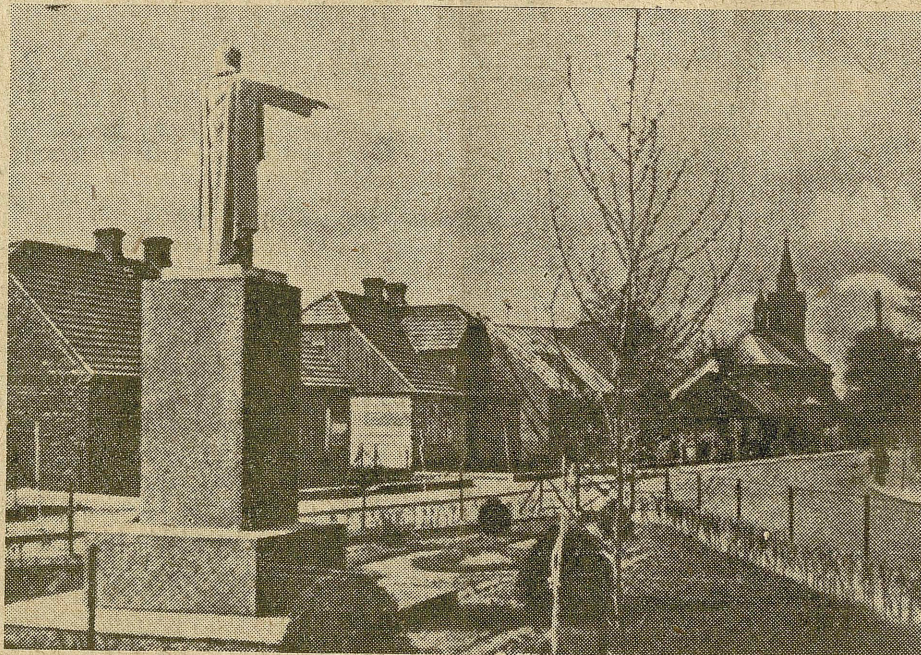
Ambicją Kapuścińskiego, jako starego działacza chłopskiego, było porównać znane mu z jego działalności wsi i przeciwstawić jej Liskowowi. Kapuściński przeciwstawiając Lipniki Liskowowi nie rozumiał jednego, że **modelowi** ideologicznemu wsi doskonałej stworzonemu przez panującą klasę przeciwstawił **rozwoj** wsi, którego motorem były społeczne siły twórcze. Chodzi tutaj więc o dwie różne rzeczy, które nigdy ze sobą się nie pokrywają, bowiem pierwszy cechuje **despotyzm** a drugi **liberalizm** gospodarczy i społeczny.

Czy więc Kapuściński przeciwstawiając Liskowowi rodzinne Lipniki, operując uogólnieniami przedstawiał nam różnicę zasadniczą pomiędzy Liskowem a Lipnikami i wykazał niezbicie wyższość jednej z nich nad drugą, czy, jednym słowem, przedstawił nam model wsi doskonałej? Nie. Kapuściński chcąc wykazać błędność założeń twórców Liskowa, musiałby przeciwstawić mu również **ideologiczny** model wsi doskonałej.

Kapuściński przeciwstawił więc Liskowowi, który jest wzorem wsi „doskonałej” stworzonemu przez ustrój sanacyjny, tylko sumę osiągnięć zdobytych własną pracą chłopów z Lipnik.

Tu właśnie leży zasadnicza różnica w pojęciu wsi doskonałej, że Lisków był modelem politycznym — ekonomicznym — społecznym wsi, był częścią ideologii, ściśle uwarunkowaną jej wymiarami, w której wszystko jest ładnie ułożone i powiązane i nie zdolne jest niczym zamąć spokoju klasy rządzącej. Dlatego to Kapuściński narzeka, że Lisków cechuje „...przerost organizacji na zewnątrz a wewnątrz konserwatyzm”... Lisków, wiemy o tym wszyscy, to była koncepcja wsi „doskonałej” zrodzona z ideologii endecko-sanacyjnej.

Jaka jest koncepcja wsi w ustroju Demokracji Ludowej w Polsce? Podstawowym warunkiem koncepcji wsi w ustroju Demokracji Ludowej w Polsce jest stworzenie na wsi jak największej liczby racjonalnie prowadzonych gospodarstw rolnych, co zostało zapoczątkowane przez Reformę Rolną, czyli powiększenie zdolności produkcyjnej ziemi, zlikwidowanie bezrobocia na wsi i zarazem powiększenie konsumpcji przez wieś. To jest podstawą do budowy życia społecznego i ekonomicznego wsi, które w obecnej chwili obserwujemy.



LISKÓW

FAKTY I ZDANIA

Zdrowie na wsi

„Wiesz musi mieć lekarzy i to zaraz”. Taki postulat wysuwa prof. dr M. Kacprzak („Wies” Nr 44, „Pilna sprawa”). Problemu tego według autora nie rozwiąże się, gdy lekarzom pozostawi się wolny wybór miejsca praktyki; na tym odcinku również należy planowo gospodarować siłami fachowymi — lekarzy trzeba na wies skierować.

Za takim rozwiązaniem problemu wypowiada się również stary działacz i publicysta chłopski Maciej Czula:

„Nie będę sięgał przykładami do domów sąsiadów, ale w moim własnym domu na sześćcioro dzieci umarło czworo, czyli 2/3, a uchowało się nas tylko dwoje, czyli 1/3 urodzonych dzieci. W ówczesnych czasach grasowały nie tylko nagminne choroby, ale było ich więcej, obecnie nieznanych. Mało kto np. pamięta groźną chorobę — tzw. „czwartaczkę”, która męczyła ludzi co czwarty dzień, a odznaczała się silną w tym czasie febrą i wysoką gorączką. Stałym gościem u kobiet był kołtun, u dzieci biegunka, u starszych kłucie w „dołku”. Leczone odczynianiem uroków, ziołami, puszczaniem krwi, smarowaniem całego ciała psim smalcem, który także się piło. W lekarzy nie wierzono i w ogóle ich do chorych nie wzywano. Zastępowali ich znachorzy i znachorki, wędrowni szarlatani, lub stare, zgrybiałe, wszystko wiedzące „babki”. Czy dużo się zmieniło pod tym względem na lepsze w obecnej rzeczywistości?

Ciągle brak jest na wsi lekarzy, higienistek, a rzadko tylko ukazuje się na wsi jakiś prelegent pouczający lud o potrzebie higieny i czystości. Nie docenia się ciągle na wsi znaczenia zdrowia.

Można zrozumieć niechęć lekarzy do osiedlania się w zapadłych wioskach, bo lekarz jako inteligent potrzebuje kontaktu ze światem, biblioteki, kina, teatru, wygodnych mieszkań, oświetlonych ulic, restauracji, ale w każdej gminie, tam gdzie jest już kościół, szkoła, dom gminny i ludowy, gdzie są kulturalniejsi ludzie, bite drogi, blisko przystanek kolejowy, władze powinny bezwarunkowo desygnować lekarza.”

Maciej Czula

Inne stanowisko zajmuje Aleksander Jakubowski, długoletni lekarz wiejski, założyciel szpitala w wiosce, w której od lat pracuje. Zna on dobrze trudne warunki pracy na gruncie wiejskim, dlatego w pierwszym rzędzie domaga się ich poprawy. Sprawę tę według niego winien w swoje ręce wziąć samorząd lokalny, on musi stworzyć dla lekarzy podstawy prawidłowego leczenia — rozszerzyć na wies sieć szpitali, przychodni, ośrodków zdrowia. To według Jakubowskiego pierwszy warunek ściągnięcia na wies lekarzy.

„Jestem przeciwny przymusowemu osiedlaniu lekarzy na wsi. Przymus był wprowadzony przed wojną pod postacią 2-letniego stażu na wsi. Najczęściej kończyło się na tym, że lekarz przymusowo osiedlony nie umiał i nie chciał zrozumieć wsi. Zresztą lekarz bez praktyki, wprost po studiach, stawiał wobec zdarzeń, które przewyższały jego umiejętności. To podrywało wobec niego zaufanie. Lekarz się zniechęcał. W rezultacie triumf przypadał w udziale znachorom. Moim zdaniem na wies powinien iść lekarz z pełną świadomością ciężkiej nań odpowiedzialności, lekarz, który lubi wies i który zdaje sobie sprawę, że już do końca swego życia zostanie wiejskim omnibušem. Potrzeba tu wiele poświęcenia i nieomal rezygnacji z osobistej przyszłości. Moim zdaniem rzecz tę należałoby ująć inaczej. Mówi się „wiesz woła o lekarza”. Trzeba by powiedzieć: o lekarza woła chłop, gospodarz, kobieta przy porodzie, matka mająca chore dzieci. Nie dba natomiast o lekarza Zarząd Gminny, ani też władze powiatowe. Tu leży sedno sprawy. Co daje lekarzowi osiedlającemu się na wsi Samorząd? Nic! Lekarz musi mieć przeciw mieszkaniu, jakieś warunki do pracy i jakiś byt zapewniony. Nie można lekarza traktować na równi z szewcem, piekaczem, czy kupcem i powiedzieć: chcesz się pan u nas osiedlić? — proszę bardzo! Pracy lekarza na wsi nie da się porównać z pracą żadnego innego fachowca. To jest zawód zupełnie odmienny, to jest posterunek czynny bez przerwy dzień i noc bez względu na porę roku, święto, czy dzień zwykły. Praca ta wymaga lekarza, pochłania go i odrywa od wszystkiego, co nie jest związane z jego zawodem.

Jeśli mamy dać wsi pomoc, to tam gdzie to jest możliwe, trzeba dać ją pełną — a nie namiastki. To są warunki, o które każdy lekarz zabiega i z powodu których ucieka ze wsi. Na te rzeczy władze powiatowe powinny mieć fundusze, a ci wszyscy, którzy przystępują do reorganizacji lecznictwa winni to mieć na uwadze. W przeciwnym razie, lecznictwo na wsi nie wiele postąpi naprzód.”

Dr med. A. Jakubowski. Gidle

Amerykański dzień dziękczynienia

Poniżej podajemy tekst proklamacji Prezydenta Trumana, wyznaczającej amerykański Dzień Dziękczynienia:

„Starszym od naszego narodu jest uświęcony zwyczaj odpoczynku po pracy w ciągu jednego dnia w okresie zniw i poświęcenia tego dnia na wyrażenie wdzięczności Wszechmocnemu Bogu za wiele łask, które zlał na nas. Teraz, gdy krąg zamknie się

wkrótce, należy znowu wznieść nasze serca w specjalnej modlitwie.

„Niech nasze tegoroczne dziękczynienie będzie połączone z pokorą, ze współczuciem dla tych, którym brak obfitości, dla tych, którzy są w potrzebie. Gdy będziemy wyrażać w modlitwie naszą wdzięczność za szczerze dary, powinniśmy pamiętać, że lepiej jest dawać, niż brać. Okażmy naszą pamięć o tym przez hojne dzielenie się naszym dostatkami z potrzebującymi innych narodów.”

„Dlatego ja, Harry S. Truman, Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, zwracam uwagę wszystkich obywateli na łączną rezolucję Kongresu zatwierdzoną dnia 26 grudnia 1941 r., wyznaczającą czwarty czwartek listopada bieżącego roku na Dzień Dziękczynienia. Obwołuję czwartek, 27 listopada 1947 r. jako dzień narodowego dziękczynienia, i zwracam się do ludności Stanów Zjednoczonych wszelkiej wiary, aby poświęciła dzień ten na myśli dziękczynne, modlitwy i silne postanowienie poparcia wysiłków robotnych przez grupy wyznaniowe i inne instytucje, w celu dopomożenia niedożywionym, chorym, starcom i wszystkim cierpiącym w krajach zniszczonych przez wojnę.”

Niedawno papież Pius XII w orędziu do Ameryki (patrz „Kuźnica” 8.12.) nazwał Trumana i rząd USA „wielkoduszną, pełną poświęcenia i nie działającą metodami przymusu władzą”.

A rzeczywistość? Gdzie są ci, „którym brak obfitości, którzy są w potrzebie, wszyscy cierpiący w krajach zniszczonych przez wojnę”. Gdzie te kraje zniszczone — czy nie o Niemczech mówi przypadkowo proklamacja Trumana?

Oto jak spod pokrywki religijności i maski filantropii wyziera prawdziwe oblicze kapitalizmu. Oto jeszcze jeden objaw politycznego powiązania się USA z Watykanem.

Przeciwko strajkującym robotnicom Francji, przeciwko strajkującym Włochom, przeciwko walczącej o wolność Grecji, Indonezji, Chinom.

Krzysztof Martyniśki

„Płomień”

„Płomień” jest pismem dwutygodniowym dla młodzieży szkół średnich, nawet dla młodzieży licealnej, jak nas informuje redaktor p. Izabela Górską. Wydaje je Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Przeglądamy numer z dnia 1 listopada b. r. Z okazji Zdzuszek widzimy tu na pierwszej stronie artykuł „Groby Piastów” i zaraz potem jeszcze jeden artykuł o kolicznościowy „Żyć w naszej pamięci”. Kto? Piastowie? Kusociński, Noria, Łokajski i inni lekkoatleci polscy. Zdrowo jest uprawiać sport. Ale po latach, w których straciliśmy tylu uczonych, pisarzy, działaczy, tych dzielnych, młodych, dziwnie się, że tylko o sportowcach się pamięta, tylko biegaczy przypominają się naszej młodzieży.

Artykuł „Młodzież na ekranie” w tym samym numerze jest niby wyjęty z przedwójennego „Kina”. Napewno po przeczytaniu go wiele dziewczynek marzyć zacznie o karierze gwiazdy filmowej takiej jak Janina Żejmo i Marysia Broniewska. Ucierpi na tym szkoła. O filmie można chyba mówić jako o przejawie kultury, jak o sztuce, widzieć w nim problemy artystyczne i społeczne, a nie tylko malowane buzie „gwiazd”. W końcu mamy w numerze parę artykułów popularno-naukowych i fragment powieści „M/S „Victoria” p. Janusza Meisnera, autora który i tak bez reklamy „Płomienia” byłby przez młodzież czytany, gdyż jest łatwy i czyni z wojny pełną przegrodę sensację.

„Płomień” opiera się na założeniach: 1) że pismo dla młodzieży nie musi mieć żadnej własnej koncepcji kultury, że może się składać z powyrywanych i połączonych kawałków kart podręczników szkolnych;

2) że młodzież szkół średnich i liceów, to smarkateria, której trzeba dawać rzeczy t. zw. „lekkie”, łatwe i bezideowe (Meisner: — Dlaczego np. nie Rudnicki?);

3) że dla młodzieży szkół średnich i liceów, może sobie pisać byle kto i byle jak (zdawkowy artykuł o Rewolucji Październikowej).

Są to według nas założenia błędne.

P. Cz.

„Jajko i ja”

Dziwne zjawisko daje się zauważyć w naszym czasopiśmiennictwie. Jeszcze przed kilkoma miesiącami mieliśmy „Przekrój”, „Żółtą Księżkę”, „Świat Młodych”, „Tydzień”, „Kraj”. Każde z tych pism trzymało się odrębnej treści i całość składała się z możliwych.

Nie dawno Jan Aleksander Król napisał ciekawy artykuł we „Wsi” p. t. „Dla kogo

piszemy?”. W którym dowodził, że nie zawiesz na polu kultury i spraw społecznych to pismo spełnia najlepiej swe zadania, które posiada najwięcej czytelników i nie tylko to pismo jest potrzebne.

Z tym trzeba się zgodzić. „Przekrój” z czasopism ilustrowanych posiada najwięcej czytelników, oczywiście wśród drobnomieszczaństwa. Nie znaczy to jednak, iż podobnego rodzaju pisma poza „Przekrojem” nie są potrzebne. Tymczasem te i inne pisma gonią za ilością czytelników i zdaje im się, że tego można dokonać tylko treścią zblizną do treści „Przekroju”.

To jest nie tylko błędne, ale szkodliwe. — Jeżeli pisma wyżej wspomniane staną się „Przekrojem”, to pozostanie w naszym życiu kulturalnym luka. Nie to kultura musi dać czytelnikowi, co on uważa za dobre, ale co jest rzeczywiście dobre dla kultury.

Zresztą i „Przekrój” nie jest bez grzechu. Aczkolwiek poczynny, od jakiegoś czasu karmi czytelników „Jajkiem i ja”, a chociaż ta powieść doczekała się trzydziestu wydań, nie jest to jednak książka wartościowa, ani pisarz, podług którego można sobie wyrobić pojęcie o wysokiej wartości postępowej literatury amerykańskiej.

Autor „Syna Ameryki” dotychczas tą jedną książką bardziej się przyczynił do oceny kultury amerykańskiej, niż 30 wydaniem „Jajka i ja”.

„Jajko i ja” w zupełności godzi się w wściekłą nagonkę na „komunizm”, z propagandą za potrzebą wojny i z koniecznością „demokratyzowania” w imię „pomocy” całego świata.

Jeżeli zajdzie potrzeba udowodnić Amerykanom, że San Marino zagraża Stanom Zjednoczonym, to będzie to myśl równie popularna wśród amerykańskiego kółka, niż powieść „Jajko i ja”.

Nie jest zatem tak dobrze w naszej prasie ilustrowanej. A wielkie braki odczuwa w tym względzie nasza wies. Nie tak dawno wyszło kilka numerów „Życia Wsi” i na tym się skończyło. Wiadomo, że wies jest odcieżała i nie odrazu rozbrytuje takie pisma, ale dać jej bezwzględnie trzeba w ilości w jakiej pójdzie. „Zaranie”, „Zorza”, „Gazeta Świąteczna” i dziś „Wies” nie szły i nie idą milionami na wies, a jednak roczniki ich zachowały się na wsi do dziś i są cenione przez wielu jak relikwie. Kultura nasza rośnie nie z ilości wydań, ale ich wartości różnorodnej i z potrzeb, jakie budza.

Seweryn Skulski

Czyżby renesans średniowiecza?

W 48 (141) numerze „Tygodnika Powszechnego” znajdujemy artykuł p. t.: „Kryzys naszych czasów”, który wprost prosi o to, by został zaszczepiony naszą notą. Niejaki (kt.) przedstawił nam poglądy harwardzkiego profesora socjologii — Sorokina. Pozwolił sobie zapoznać z nimi Sz. Czytelników. Otóż Sorokin stawia tezę, że „wbrew panującym przekonaniom cywilizacja nasza nie jest w stanie zamierania, lecz przekształcania się”. Dalej mówi on, że ludzkość zna trzy istotne formy cywilizacyjne, które nazywa idealną formą (idéationelle), idealistyczną (idéaliste) i sensuálną (sensorielle). Jak dotąd wszystko w porządku: poglądy Sorokina nie są niebezpieczne. Ale, posłuchajmy dalszych wywodów profesora uniwersyteckiego w Harvard. Sorokin zalicza do typu cywilizacji idealnych cywilizację średniowiecza w Europie Zachodniej (dlaczego tylko w Zachodniej?). Acha, jesteśmy w domu. Ludzie żyli wtedy — mówi Sorokin — jedynie myślą o zbawieniu wiecznym, filozofia i nauka służyły teologii, sztuka wyrażała kult czło-wieka dla Boga, król rządził z mocy prawa bożego (no, no, i pomyśleć, że ci biedni sankiuloci burząc Bastylię, hurzyli prawo boże!). Sądzę, że to wystarczy, aby poznać idee profesora Sorokina. I cóż winniśmy my uczynić teraz, aby wielkie, konieczne przemiany dokonały się w myśl Kazania na Górze? Sądzę, że powinniśmy przywołać szaty pokutne i udać się na pustynię. Sądzę, że Żółkiewski z Kottlem powinni zasiać do pisania traktatu teologicznego o łasce uświęcającej, a Brandys i Rudnicki pisać powieść o pełnych chwały rządach monarchii z prawa bożego. Inaczej przyjdą „boskie energie atomowe”, jak pisze „Rycerz Niepokalanej” i będzie koniec z grzesznikami.

Żart na stronę, panowie! Poglądy Sorokina są same w sobie nieinteresujące, ale kryje się w nich pewien aspekt żywo nas obchodzący. Otóż poglądy te są dziś bardzo popularne wśród naszej kultury. Z nimi trzeba walczyć! Niech sobie Sorokin pisze i niech go czytają amerykańskie bigotki i amerykańscy sekciarze, ale gorzej, że i u nas tak piszą. Czytalem niedawno broszurkę ks. Klepacza „Idea-

ly średniowiecza a doba obecna”, w której ksiądz biskup afirmuje średniowiecze i nawołuje do powrotu doń. Mój Boże, Sorokin w sutannie!

Zdzisław G. Spieralski

Pomóżcie!

— Co było punktem kulminacyjnym obrad Zw. Zaw. Literatów we Wrocławiu?

— „Punktem kulminacyjnym rozprawy wrocławskiej stała się chwila, gdy na mównicy pojawił się Jerzy Zawieyski”.

— Jak wygląda Żółkiewski i Zawieyski? (wybaczenie nieistotne dla obrad pytanie. — ciekawość jest wszak rzeczą ludzką)...

— „Trudno o większy zewnętrzny kontrast postaci — renesansowo zmierzającej Żółkiewskiego i średniowiecznie uduchowionej Zawieyskiego”.

— Czy mają obaj cechy wspólne?

— „Już po pierwszych słowach autora „Rozdroża miłości” ujawnia się cecha wspólna: przeświadczenie o słuszności własnej sprawy i świadomość mocnego oparcia o rzeczywistość kulturalną”.

Pytam, bo nie wiem. Lecz, co gorsze — pytam, otrzymuję odpowiedzi w trzech kolejnych zdaniach wstępnego artykułu „Tvg. Warszawskiego” (nr. 49, Jerzy Kierst: „Dwie postawy”) — i nie rozumiem. Podkreślam sobie fragmenty istotne, które właśnie winny zaspokoić moją ciekawość — i wciąż ze wstydem przyznaję, nie wiem: jakie było najważniejsze wydarzenie obrad wrocławskich, jak wygląda Żółkiewski, jak Zawieyski, co ich intelektualnie łączy?

Przypisałem więc sobie na czysto pytania i odpowiedzi, i proszę — czytelnicy, pomóżcie. Ja bo zaplać uchem w mrokach średniowiecznego uduchowienia.

Jan Sygala

Dwa listy

„Do Administracji tyg. „Wies”

w Łodzi

Niniejszym uprzejmie Was proszę, abyście wreszcie przestali nadsyłać mi Wasze „cenne” pismo, a wraz z nim jakieś upomnienia o prenumeratę. Na podobne blażenstwa nie mam pieniędzy! Czytam jedynie z ciekawości, co też myślą polscy marksiści.

Skąd macie mój adres? Ja otrzymuję dziesięć różnych pism, zaś opłacam w tej chwili tylko jedno miesięcznik, ten przez Was znienawidzony „Rycerz Niepokalanej”. Oczywiście, nie popadam w ostateczność i Was nie potępiam. Kiedys przejrzyście! Nieraz w mro-wisku Waszych myśli też znajdzie się przecie coś rozsądniejszego.

Ja uważam, że przecież my, Polacy, ani tacy żli, ani głupi nie jesteśmy — jedynie jesteśmy zawsze przez życie dreczeni, a przez to rodzi się w nas niepotrzebna zawiść i nie-nawieść. Czas byłby, aby doszło do lepszego współżycia. Wy się odgradzacie naprawdę żelazną barierą od przeszłości, a to jest głupota. Dzieje ludzkie mają swój sens w całości, nie tylko w jakimś ich ułamku, nie tylko w tym, co dziś przeżywamy. One zawsze zmierzają do celu i napewno na dzisiejszych systemach i ustrojach, w których jesteście tacy zakochani — nie skończ się. Rozwój ludzkości pójdzie o wiele dalej i głębiej, niż Wasz wzrok sięga...

To mówię Wam ja, prosty chłop. Takich, jak ja jest tysiące, setki, miliony.

Proszę się dalej nie fatygować, bo jestem za mało „upożany” na to, aby za badanie Waszych myśli płacić. Inne pisma otrzymuję za korespondencję, ale z Wami — trudna rozmowa.

Stefan Dabrowski

Zgierzynka, p-ta Lwówek Wlkp.”

Szanowni Obywatele!

Znowu wysłałam Wam 2 dolary na konto prenumeraty gazety „Wies”, która bardzo przypada mi do gustu i proszę Was o dalsze kontynuowanie wysyłki gazety.

U nas w Ameryce wychodzą różnorakie ściertki, galgany i szmaty, najrozmaitszych kierunków i orientacji, przeważnie od „Serca Jezusowego”, a skończywszy na legalnym „Londynie”, co razem czyni wielką kupę, a w tym dużej — nie! Czytelnik po przeczytaniu tych arcywesołych szpagatów i bajek o siedmiu cudach świata, momentalnie zapada w stan jasnowiedztwa i odkrywa nowy ósmy cud „drogę na Zaleszczyki” i pyta się sam siebie, jak długo ci krzyżowcy myślał nas tumanie i obiecywać nam „mocarstwo na dwa ty”.

My, starsi emigranci polscy w Ameryce, jesteśmy wyzyskiwani i pomniejszani przez naszą zmaitsze osobistości a la „Zmykajajczyk” do tego stopnia, że byle „akis pan hrabia, generał, panusia albo jakies naczyne duchowne, pozuje na „wielką zbawczyńnię malej ojczyzny” a jest ich tysiące w Ameryce z „powrzesniowem” Polskę.

Obywatele! Życzę Wam pomyślności w Waszej wytrwałej pracy w uświadamianiu tego chłopa i robotnika polskiego, który może raz nareszcie stanie się istotą nie tylko boską, ale i ludzką, który już nie będzie serwilistycznie emigrować poza oceany w poszukiwaniu kawałka chleba. Starajcie się utrzymać styl gazety na obecnym poziomie, a z pewnością Wasze zabieg i dobre chęci będą solidnie wynagrodzone przez przyszłe pokolenia i Lud Polski.

Stanisław Grodzki

Listopad 29.1947 4444 Garvin Ave
Detroit 12, Mich. USA

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 40,—, kwartalnie 120,—, półrocznie 240,—, zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
P K O Łódź VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024205